

# 3

## OPOWIEŚĆ SYBERYJSKA

Nic oprócz złudzeń we mnie nie umarło.

*Henry Miller*

W tej historii będzie mowa o zdarzeniach, które na przekór wszystkiemu miały miejsce naprawdę, a także o zdarzeniach, które powinny być mieć miejsce, ale w ostatniej chwili się nie odbyły; o takich, których się spodziewano, ale się nie doczekano; o takich, które odbyły się inaczej, w innym czasie i z innymi osobami; o takich, który też się odbyły, ale zostały uznane za nieprawdziwe; a także o takich, które nigdy się nie odbyły i odbyć się nie mogły, ale stały się powszechnie znane i nawet trafiły do encyklopedii.

*Reminiscencja z zapomnianego autora*

Po raz pierwszy życiowe wichry przywiały zagadkowe słowo „Syberia” do moich połockich pieleszy, gdy miałem lat pięć, a do naszych sąsiadów przyjechał krewny z owej właśnie „Syberii”.

Syberyjski swojak wytaszczył z wagonu bagaż i przed przejściem przez tory ujrzał ostrzeżenie: *Scierażysia ciahnika!*<sup>1</sup> Obej-

---

<sup>1</sup> Strzeż się pociągu! (*białor.*)

rzał się jak zaszczuty, wypluł z ust bielomora, chwycił walizę i dał chodu z peronu, aby dalej od tłumu złodziejskich białoruskich *ciahników*, gotowych w mgnieniu oka ściągnąć mu jego własność.

Tę historyjkę opowiadali na naszej ulicy wszyscy z wyjątkiem może tylko głuchoniemego dziadka, który mieszkał z tuzinem kotów w pobliżu stacji pomp. Słuchacze pękali ze śmiechu, a i ja zaśmiewałem się razem z innymi, choć z początku tylko dla towarzystwa, bo co znaczył *ciahnik* – wiedziałem nie lepiej niż tamten syberyjski Rusek.

\*

Wspomnienie o moim pierwszym spotkaniu z Syberią twarzą w twarz spowija nie zapach cedrowej żywicy czy gorących mięsnych pierożków, a woń świeżej ludzkiej juchy.

W kalendarzu był czerwiec, szczytowy okres tak zwanego zastoju. Pochowawszy ojca, rzuciłem się w pogoń za swoim Studenckim Oddziałem Budowlanym (w skrócie SOB) „Victoria”, który białoruską krwią karmił roje syberyjskich komarów na urwistych brzegach rzeki Keć.

Jeśli uważnie przyjrzyście się nowej politycznej mapie świata, wydanej niedawno przez wiedeńskie wydawnictwo „Freytag und Berndt”, to znajdziecie cieniutką czerwoną niteczkę kolei, ciągnącą się na północ od Tomska i urywającą się beznadziejnie w punkcie z mikroskopijnym napisem *Perechodnyi Dol*. To tam właśnie powinienem być trafić, żeby wypić z przyjaciółmi ocalałą ze stypy butelkę „Białowieskiej” za świetlaną pamięć mojego ojca i zarobić swój tysiąc rubli albo, jak wtedy mawiano, „dziesięć kawałków”, a potem zrobić wrażenie na jednym połockim i kilku mińskich dziewczątkach, obojętnym tonem rzucając sakramentalną frazę: „Nikt nie może nam zabronić życia w pięknym stylu”.

Wypakowałem się z pociągu „Moskwa-Tomsk” (w jego wagonie restauracyjnym można było do woli pomedytować nad taki-

mi pozycjami menu jak „kotlety z niedźwiedzia wieprzowe” i „kotlety z niedźwiedzia cielęce”), pełną piersią wciągnąłem syberyjskie powietrze i dowiedziałem się, że jedyny pociąg do stacji Pieriechodnyj Doł odchodzi za godzinę. Przebicie się do okienka kasy przez zapchaną salę dworcową wyglądało na zadanie nie mniej skomplikowane, niż przyłączenie Jamało-Nienieckiego Okręgu Autonomicznego do Białorusi. Żadnej kolejki do kasy nie było: do okienka z różnych stron wyciągały się ręce z pieniędzmi, odpychając się wzajemnie, co sprawiało, że kasjerka spokojnie czytała sobie gazetę.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że „rosyjska potęga będzie się rozrastać Syberią”, że na syberyjskich bezkresach można znaleźć wiele rzeczy świetlanych i głęboko ludowych, ale dla mnie wizytówką tej krainy na zawsze pozostanie scenka rodzajowa ujrzana owego dnia spod okna dworca kolejowego w Tomsku.

Wągrowatemu młodzianowi z błyszczącym wzrokiem poszczęściło się precyzyjnie do kasy i ze zduszonym zwycięskim okrzykiem „Pieriechodnyj Doł!” wetknąć kasjerce brudnożółty zwitek jednorubłówek. W tej samej chwili przeraźliwie zawrzęsnały ochryply kontralt: „Waniok, wyłącz cwaniaka!” Dwumetrowy drażal z dobrodusznym buraczkowym obliczem melancholijnie rąbnął pudowym kułakiem młodzianowi między oczy. Niedoszły triumfator zalał się juchą i oklapł. Jechać do Pieriechodnego Dołu najwidoczniej mu się odechciało. „Towarzysze, rozstapcie się! Człowiekowi zrobiło się niedobrze!” – nieśmiało pisnęła kasjerka z okienka, próbując bezskutecznie wręczyć bilet na wpół przytomnemu podróżnemu. „Wylize się, zdechlak” – rzucił ktoś pogardliwie. Najbardziej skorym do niesienia pomocy humanitarnej okazał się Waniok. Z łatwością, jak gdyby wyrywał chwast z ogrodowej grządki, wyciągnął swą zakrwawioną ofiarę z tłumu, uniósł ją wysoko ponad głowami i zaproponował podać „towarzy-

sza” do wyjścia. W podzięce za tę troskę, już odpływając w kierunku drzwi na wyciągniętych w górę męskich rękach, „towarzysz” sprężył się i celnie plunął w twarz Wanioka glutem krwi, smarków i śliny. Zrobiło mi się niedobrze i dotkliwie zachciało z powrotem, do Mińska i Połocka.

Do Pieriechodnego Dołu przybyłem kukuruźnikiem, płacąc pilotowi dwiema butelkami ziołowej nalewki „Zwieroboj”. Pasażerowie ustalali przystanki na żądanie z załogą w trakcie lotu i samolocik, budząc popłoch wśród domowego inwentarza i zwierzyzny w tajdze, dwukrotnie lądował przy ludzkich siedzibach, przy czym raz ledwo się rozminął z jakąś stodołą, ponieważ awiatorzy odkorkowali swoje butelki od razu przy sterach.

Na lądowisku wznosiła się olbrzymia żelazna brama, choć ani po prawej, ani po lewej stronie nie było widać żadnego ogrodzenia. Za to u samej góry obiekt był ozdobiony artystycznym obrazem, na którym krzaczastobrwiasty i medalasty sekretarz generalny wyciągał rękę, informując podróżnych: „Słuszną drogą idziecie, towarzysze”. A także dodawał: „Wita was centrum rejonu wierchnieckiego Pier. Doł.” Te przejmujące słowa z chuligańskim skrótem kończyła domalowywać uczepiona drabiny mizerna istota z tak klasyczną kozłą bródką, że zdawało się, iż w gumiakach tego sługusa muz musiały omdlewać nie stopy, a koźle kopytka.

Na pasie startowym i dokoła niego przekwitały mlecze, pasły się krowy i nikt nikomu nie puszczał juchy. Trwożliwą nutę do tej sielankowej scenerii wniósł pastuch podpierający bramę i spoglądający tkliwie na zieloną butelkę przy jego nogach, napełnioną nieznanym w Białorusi sikaczem o nazwie „777”. Pastuch z godnością pociągnął kilka łyków prosto z butelki, mniej więcej tyle nalał do jakiejś skorupy swojemu pieskowi, którego z czułością nazywał Ałkaszem, po czym uprzedził mnie, że na drodze z lotniska do centrum rejonu wierchnieckiego grasuje zbiegły z koł-

chozu byk rozplodowy o niespotykanym wśród parzystokopytnych imieniu Judenicz.

Na szczęście, odwaliwszy parę ładnych kilometrów przez tajgę, spotkałem się nie z Judeniczem, a moim najlepszym przyjacielem Gienkiem, który gazikiem wioził puszkę margaryny dla junaków z SOB-u i skrzynkę dagestańskiego koniaku „Abrau Diurso” dla ich dowódców i miejscowego naczalstwa. Gienek zajmował odpowiedzialne stanowisko naszego zaopatrzeniowca. Zdążył już doskonale przyswoić regułę, że ususz, rozkurz i zwłaszcza stłuczki na syberyjskich drogach były nieuniknione, dlatego też po pół godzinie syberyjska rzeczywistość osiągnęła dagestańską stereoskopijność, a ukąszenia komarów stały się ozdobą tutejszego życia.

Gazik zahamował na centralnym placu Pier. Doła i Gienek, który już wcześniej rozwinął w sobie szczególny pociąg do partyjnych i państwowych instytucji, zaproponował wyskoczyć do wiatru za rejkomem partii. Chciwie chłonałem w siebie syberyjski koloryt, do jakiego oprócz komarów należały starodawne przysadziste domy, które już dawno musiały zapuścić korzenie, a także budzące respekt stado ni to oswojonych, ni to zdziczałych psów wszystkich możliwych maści, biegających wokół i przeszkadzających nam urzeczywistnić nasz antypartyjny zamiar.

Załadowaliśmy się do gazika i Gienek znowu w zamyśleniu popatrzył na złociste owoce „Abrau Diurso”. Za szybą mignęło wysokie ogrodzenie z drutem kolczastym, co najmniej na trzy wysokości wzrostu człowieka. „Zona<sup>2</sup>” – lapidarnie wyjaśnił mi zaopatrzeniowiec. Zdążyłem jeszcze zauważyć hasło na ogrodzeniu: „Posłuszeństwo i uczciwa praca twoją drogę do wolności skraca.”

---

<sup>2</sup> W sowieckim slangu więziennym i łagrowym *zona* oznacza zamkniętą strefę odbywania kary pozbawienia wolności, więzienie, część zamkniętą łagru.

Daninę miejscowemu upodobaniu do haseł oddała także nasza grupa budowlana. „Ileż to pięknych rzeczy przyjdzie nam urzeczywistnić!” – stało na czerwonym transparencie rozwieszonym pomiędzy dwoma modrzewiami. Pod nim stał inny mój przyjaciel, Miszka Czarnawiec, znany czytelnikom almanachu „Miławica” – samizdatu na naszym wydziale historycznym – jako poeta Michaś Czarniłowicz. Michaś pilnie wpatrywał się miskę, jak wróżbiarka w lusterko, czas od czasu rzucając szybkie spojrzenia na zegarek. Takiemu samemu mału zrozumiałemu zajęciu oddawało się jeszcze kilku junaków SOB-u. „Czterdzieści siedem!” – wykrzyknął Czarniłowicz i wyrzucił zawartość miski w krzaki. „Pięćdziesiąt!” – odezwał się ktoś inny, też opróżniając miskę. Wkrótce się wyjaśniło, że chłopaki liczyli, ile komarów siądzie na ich jedzenie w ciągu minuty. Reszta junaków nie zajmowała się eksperymentowaniem, a po prostu biegła z miskami i łyżkami wokół nie dobudowanej stołówki, usiłując uwolnić się od długich roi komarów i próbując wcisnąć porcję gumiaстых makaronów do żołądka. Ci, którzy byli z nami zeszłego roku w oddziale budowlanym w Kazachstanie, mogli jedynie tęsknie powspominać naszego kucharza, Koreańczyka Kima, który na Dzień Budowniczego przygotował nam firmową potrawkę z duszonego mięsa susłów, a w dni powszednie codziennie zarzynał barana, kiedy zaś barana nie dowieziono, zarzynał jednego ze swych tuczonych na mięso koreańskich psów i przygotował najsmaczniejszy gulasz sezonu, szkoda tylko, że powiedział nam o tej kulinarnej tajemnicy od razu, gdy jeszcze cały oddział siedział przy stole.

Dni przeznaczone nam na urzeczywistnianie rzeczy pięknych były ciekawsze niż noce pod moskitierami, które słabo chroniły przed komarami, pająkami i innymi owadami żądnymi naszej krwi. W dzień zawieraliśmy znajomości ze stworzeniami znacznie ciekawszymi. Na budowie cegielni razem z nami pracowali więźnio-

wie-zekowie z żony i wolni osiedleńcy, albo po prostu chemicy<sup>3</sup>. Zekowie byli pod konwojem i przystępu do nich nie mieliśmy, podczas gdy z chemikami bez ceremonii chodziliśmy na papierosa albo i obciążaliśmy butelczynę „777”, co w pieriechodnodolskim żargonie nazywało się „pójściem na trzy siódemki”.

Dzięki wspólnym przerwom na papierosa dowiedzieliśmy się, po pierwsze, że lotniskowy artysta z kozią bródką w przeszłości był docentem (tu go nazywano Riepinem) Leningradzkiej Akademii Sztuk Pięknych i kończył na wolnym osiedleniu wyrok za nie całkiem bezinteresowną pomoc przyszłym mistrzom pędzła w wykonaniu prac dyplomowych. Oprócz leninów i breżniewów (Leonida Iljicza szczególnie nie lubił i nazywał kozłem, rozciągając to słowo jak gumę do żucia) docent malował galowe portrety oficerów z komendantury, każdemu z zamawiających doczepiając dodatkową gwiazdkę na pagony. Straszliwie przeklinał, mimo swego nieszczęśliwego wyglądu miał powodzenie u dalekich od sztuki kobiet w Pieriechodnym Dole i kolekcjonował, a może też i sam wymyślał, dowcipy o gliniarzach. Jedną z jego historyjek o małoletnim rzeźbiarzu utkwiała mi w pamięci do dzisiaj. Milicjant pyta małego chłopczyka, co też tam on rzeźbi. „Wujka milicjanta” – odpowiada z piaskownicy małoletni rzeźbiarz. „A z czego?” – „Z wody, piaseczku i gówienka”. Wujek w mundurze oczywiście naciera małemu uszy, ale nazajutrz znowu spotyka go w piaskownicy. Na niebezpieczne pytanie chłopczyk odpowiada przezornie, że rzeźbi wujka strażaka. Udobruchany milicjant pyta dalej – a z czego? „Z wody i piaseczku”. – „A gdzie gówienko?” Młody rzeźbiarz szelmowsko mruży oczy: „Nie ma, bo wtedy wyszedłby wujek milicjant”.

---

<sup>3</sup> *Zek* – więzień odbywający karę pozbawienia wolności; *chemik* – więzień odbywający karę pozbawienia wolności w kolonii poprawczo-robotniczej, inaczej – *na chemii*, w łagodniejszym reżimie niż *zona*.

Za Riepinem łąził, jak na uwięzi, tak samo drobniutki chemik Wasia z kłującymi ruchliwymi oczkami i ksywą Ufoludek. Na wolności Wasia jeździł MAZ-em i po cichu opylał papę, cement i inne państwowe ładunki. Ufoludek wiernie łążący za Repinem sprawiał na kimś nowym wrażenie człowieka zupełnie zrównoważonego, dopóki nie nabierał do tego nowego pełnego zaufania. Wtedy proponował mu odejście gdzieś na stronę i z błyszczącym wzrokiem zaczynał wyjaśniać łamiącym się ze zdenerwowania głosem, że wszystkie jego niepowodzenia w handlu papą spadły na niego po spotkaniu ze stworem z innej planety.

Wysłannik obcej cywilizacji ukazał się wrażliwemu Wasi pod postacią zmarzniętej na kość istoty, czekającej na okazję w mroźną noc na głuchym rozjeździe w tajdze. W kabinie przypadkowy pasażer owinał się dziwnym srebrzystym okryciem i zachowywał się równie zagadkowo: milczał i nie śmiał się z opowiadanych dowcipów. Przyjrząwszy się uważnie swojemu pasażerowi, Wasia ze zgrozą dostrzegł, że ów zamiast nosa miał czarną dziurkę, w której coś się świeciło. Dalej opowiadanie stawało się zagmatwane i mało zrozumiałe. Występowały w nim jakieś olbrzymie srebrne cylindry, koncentryczne koła świeżej ziemi wśród zasp, ukradziony cement i – z bliżej niewyjaśnionego powodu – siwy staruszek (przypominający starego, steranego życiem Żyda) z wielkimi, szarymi jak u nocnej ćmy, skrzydłami, który polatywał wzdłuż linii wysokiego napięcia w tajdze, budząc przerażenie wśród monterów. (Najbardziej niewiarygodne, że o tym dziadku o semickich rysach twarzy usłyszałem po dziesięciu latach od pewnego zupełnie normalnego chłopaka z petrochemii w Połocku, którego raz w miesiącu przerzucano samolotem na dwa tygodnie gdzieś pod Niefiejugańsk.)

Przerwy na papierosa zetknęły nas także z braćmi bliźniakami, których nikt nie potrafił rozróżnić, dlatego też mieli jedną



ksywę w liczbie mnogiej – Spawacze. Na chemii nikt ich z palnikami w rękę nie widział, ale na wolności bracia rzeczywiście pracowali jako spawacze – gdzieś niedaleko Tiumenia zapakowali do rurociągu kierownika robót i dokładnie go zaspawali. Poruszając się głową do przodu i rozmyślając nad problemem sprawnego rozdzielenia zadań w brygadzie, kierownik mógł pełznąć aż do europejskiej części ZSRR, podczas gdy w przeciwnym kierunku, to znaczy nogami do przodu, miał jakieś dwadzieścia kilometrów. Kierownik wybrał właściwy kierunek i, jak prorok Jonasz z trzewi Lewiatana, wydostał się z rurociągu na świeże powietrze na dzień przed wpuszczeniem gazu do rury. Dzięki temu bliźniacy dostali niewysokie wyroki. Gdyby kierownik popełnił w kierunku Europy, nie dostaliby pewnie nic, bo w tundrze nie było żadnego świadka ich czynu.

Przez kilka dni nasza brygada pracowała w charakterze doke-rów na przystani w Pieriechodnym Dole. Razem z nami skrzynie z „777” i niedojrzałymi jabłkami przenosiła trójka biczów<sup>4</sup> – dwóch grzywiastych, niedomytych i nieogolonych chłopaków oraz dziewczyna z rudym warkoczem, którą można byłoby nazwać *ruskiej krasawicój*, gdyby nie jej poźółkłe od tytoniu zęby i przygaszone oczy koloru workowego płótna. Dziewczyna, co prawda, skrzynek nie ciągała, a siedząc okrakiem na jednej z nich bez przerwy paliła i zapijała papierosowy dym dagestańskimi „trze-ma siódemkami”. Przez cały dzień milczała i otworzyła usta bodajże tylko raz, gdy schwyciła mnie za rękaw kurtki i wyrzekła: „Zapamiętaj, chłopaczku: gdy wybierasz się do kobiety, weź ze sobą pejcz”. Porażony tym, że biczowa czytała Nietzsche’go, omal nie upuściłem skrzyni z baterią butelek. Piękność ulżyła mojemu brzemieniu, królewskim ruchem przenosząc ze skrzyni do

---

<sup>4</sup> *Bicz* – włóczęga, outsider systemu sowieckiego; termin jest akronimem rosyjskiego określenia *bywszij intelliigentnyj czielowiek*.

swoich stóp jeszcze jedną butelkę i zapadając ponownie w filozoficzne milczenie.

Wieczorem, gdy nad brzegiem Keci opijaliśmy nasz dokerski zarobek – po 50 re na łebka – wyjaśniło się, że koledzy uczyli się w instytucie lotniczym w Moskwie, dwa lata temu przyjechali tu razem z oddziałem budowlanym, zasmakowali w syberyjskiej wolności i do stolicy już nie wrócili. „A niech ją sobie wsadzą w aerodynamiczną dupę!” – wyrafinowanie podsumowała niedoszła konstruktorka samolotów.

Pod koniec balangi biczowie bez ceregieli zaczęli się we trójkę całować, obślinając się przy tym obficie, a w końcu wzięli po butelce „777” i zgodnie wśliznęli się pod przewróconą do góry dnem barcę.

Rankiem byliśmy świadkami ich śniadania. Gdy chłopaki spacerowali nad brzegiem rzeki, robiąc poranną gimnastykę, żółtozęba na trawie przy barce rozesała niewiarygodnie brudną chustkę do nosa i podzieliła piątkę chleba na trzy części. „Och, chłopasiu, z ochotą bym cię wy...” – nie wiadomo do którego z nas odezwała się rozmarzona dziewczyna i słodko ziewając dodała z kokieteryją: – Ale nie mogę, kochasiu, nie mogę, chłopaki nie daliby mi życia, są piekielnie zazdrośni”.

W Pier. Dole poznałem także kędzierzawego Saszkę spod Żłobina, który chłopak nazywał Żłopowem, gdzie w państwowym domu dziecka minęło jego dzieciństwo.

Cygańską brew Saszki przecinała pozbawiona włosów blizna będąca nagrodą za współczucie dla czworonożnych przyjaciół człowieka.

Zgodnie z niepisanym regulaminem domu dziecka, organizowano tam regularnie tak zwane *sobaczniki*. Dlaczego nazywano tę zabawę akurat tak, zrozumieć trudno, bo brały w niej udział nie psy, a koty. Koty łapano w okolicy, po czym starsi wycho-

wankowie przybijali je do płotu, wbijając gwoździe w skórę odciągniętą na szyi tych mniejszych braci gatunku ludzkiego. W odległości dwudziestu metrów od płotu czekały przygotowane zawczasu kupy kamieni. Ratowanie żywych tarcz nie było zabronione, ale kamienny grad nie mógł osłabnąć ani na chwilę.

W sierocińcu istniały także inne tradycje. Na przykład, starsi uczyli młodszych przeklinać. Trzyletnie dziewczątka stawiano codziennie na baczność i kazano po sto razy głośno powtarzać: „jestem k...”, „jestem k...”, „jestem k...”. W następnym tygodniu dziewczątka kontynuowało naukę tą samą metodą: „jestem p...”, „jestem p...”, „jestem p...”. Wzbogaciwszy zasoby leksykalne uczniów, „pedagodzy” przechodzili do składni. Dzieci, które już umiały pisać, oprócz ćwiczeń ustnych dostawały także zadania pisemne. Największą inwencję w tym kierunku wykazywał niejaki Chalimon. Mógł kazać dziewczęciu zrobić ćwiczenie nie tylko na osobnej kartce, ale także w szkolnym zeszytcie i koniecznie oddać go do sprawdzenia nauczycielce. Wykupić się można było tylko w jeden sposób, o którym wolę nie mówić. Szczególną przyjemność sprawiali „wychowawcom” chłopcy i dziewczęta trafiający do domu dziecka z dobrych rodzin, w których doszło do jakiegoś nieszczęścia. Uczono ich palenia, picia wina, grania w karty, przegrywających bito po uszach linijką i zmuszano do połykania „ostrzyg” – powalanych ziemią ślimaków albo gąsienic.

Starszoklasiści – wspominał Saszka, patrząc na nas smutnymi agatowymi oczyma – wybierali sobie dziewczęta, na ogół młodsze, które po wyjściu wychowawczyń biegły do sypialni swoich rozkazodawców i zostawały tam do rana. Zimą zaś te dziewczątka, które zostawały w łóżku same, boleśnie zazdrościły parom, ponieważ zaśnięcie w wychłodzonym dormitorium było niemożliwe – torf i drewno administracja opylała na lewo.

Nie zdążyliśmy się dowiedzieć, za co Saszka odbębnił dwa lata na zonie, ponieważ nasza brygada nie zaznaczoną na mapie kolejną wąskotorową wyjechała na chałturę do tajgi, do osady Jagodnoje. (Gienek po kolejnym raporcie o stłuczkach przezornie zrezygnował z obowiązków zaopatrzeniowca i jeszcze przezorniej, jak się okazało z dalszego biegu wydarzeń, zabrał ze sobą myśliwską strzelbę.)

Pierwszy na nowym miejscu powitał nas kapitan osadowej komendantury. Jego przemówienie powitalne zmusiło do medytacyjnego gwizdnięcia nawet takiego światowca jak niegdysiejszy marynarz radzieckiej floty rybackiej i bywalec duńskich, tallińskich i ryskich burdeli Misza Harelik zwany Buhor, będący rodzonym bratem junaka Lawona Harelika, tego właśnie, który publikował w samizdackiej „Miławicy” swoje dzieła w duchu wczesnego Josepha Conrada pod pseudonimem John Halak.

Wszyscy mieszkańcy Jagodnoje dzielili się na trzy kategorie: pracownicy komendantury specjalnej, byli więźniowie, którzy osiedli tu po odbyciu chemii, oraz chemicy obecni. W osadzie pracowało na chemii ze trzy setki mężczyzn i setka przedstawicieli piękniejszej połowy gatunku ludzkiego (te były wyłącznie z Leningradu i wyłącznie za niemoralne prowadzenie się). Jeśli wierzyć kapitanowi, choroby weneryczne w osadzie ominęły jedynie wiewiórki i burunduków. Chodzenia do łaźni nie polecano, bo groziło to zakażeniem. Kąpieli w okolicznych gliniankach nie polecano, bo groziło to podejrzeniem gardła (ofiary, zgodnie z miejscową tradycją, przysypywano piaskiem). Kapitan także radził poruszać się po osadzie w grupach, zwłaszcza po zapadnięciu zmroku.

Kategorycznie nie rekomendowano też utrzymywania jakichkolwiek stosunków z chemikami i chemiczkami. Pewnie więc dlatego zakwaterowano nas na skraju osady, gdzie stało ze dwa-

dzieścia fińskich domków zajętych przez chemików i mniej więcej drugie tyle oczekiwało przyszłych lokatorów odwalających swoje wyroki na zonie.

Podczas gdy gospodarze tego „chemicznego osiedla” przebywali w tajdze, my w towarzystwie dwóch chorążych zajmowaliśmy się poszukiwaniem wolnej przestrzeni mieszkalnej. Nie zajętych pomieszczeń nie brakowało, jednak część z nich przeprofilowano na ubicację, o czym świadczył ich charakterystyczny wygląd wraz z nieodłącznym fetorem. Kilka domków już odegrało tę zaszczyną rolę i powietrze w nich zaczynało z powrotem pachnieć tajgą, ale warstwa cywilizacyjna była w nich na tyle potężna, że można jedynie współczuć archeologom przyszłych stuleci. Choć do tego czasu ściany zapewne spróchnieją i przyszłym badaczom ubędzie przynajmniej jedna zagadka naukowa: dlaczego tubylcy, mając do dyspozycji gazety i obfitość łopuchowatych gatunków roślin w tajdze, wykorzystywali, za przeproszeniem, własne palce, które potem starannie wycierali o pobielony wapnem tynk?

Wreszcie znaleźliśmy dwa domki, w których do niedawna ktoś mieszkał i które jeszcze nie zdążyły przeistoczyć się w archeologiczną łamigłówkę. Ja, Gienek, Buhor, Czarniłowicz i rudy jak porzewiała blacha John Hałak rzuciliśmy swoje plecaki na podłogę w miejscu, gdzie leżał porzucony zeszyt z piosenkami przepisany starannym dziewczęcym charakterem pisma. Pierwsza z piosenek miała tytuł „Pokochałam zeka”. Chłopaki wyruszyli do sklepu, a ja – przygotowując się do nieuniknionych kontaktów z miejscową ludnością – postanowiłem zapoznać się bliżej z jej folklorem. Otworzyłem śpiewnik:

*Na równinie szerokiej  
Stoi krzyż ociosany,  
Przy nim dziewczę przylgnięte  
Jak do piersi kochanka.*

*Za dziewczęciem ikona –  
Zakazana to zona,  
Tam jak świeca nad grobem,  
Tkwi wartownik na wieży...  
Przemykaliśmy z tobą  
Wśród majowej zieleni,  
Kiedy tundra odziała  
Swoje szaty przepyszne...*

Nie wiadomo jak znalazły się tu dwa wiersze Siergieja Jesienina i jeden Arsienija Tarkowskiego, od których – jak od gałązki jaśminu w nabitym spoconymi ciałami wagonie – na moment powiało świeżością. Dalej szła niemal w całości niecenzuralna piosnka o ojcu i trzech synach, z których jeden był hermafrodytą. Przewróciłem jeszcze jedną stroniczkę. Obok całkiem profesjonalnie wykonanego rysunku tego, co seksuolodzy tajemniczo nazywają kiejrą<sup>5</sup>, tym samym okrągłym charakterem pisma pilnej ósmoklasistki było zapisane:

*Pewnie jakiś lalusz pod krawatem  
Teraz z panią w bramie się całuje...*

Zapoznać się z dalszą częścią ilustrowanego tekstu nie zdążyłem, bowiem na zewnątrz rozległy się tak przerażające czy, dokładniej mówiąc, tak majestatyczne przekleństwa, że w porównaniu z nimi niecenzuralny drybling docenta Riepina wyglądał jak czteropiętrowa kamienica obok nowojorskiego drapacza chmur.

Nie miałem wątpliwości, że ta kwestia, genialnie skomponowana z wyrażeń niemal wyłącznie obscenicznych, została wypowiedziana kobiecym głosem. Sens tej płomiennej filipiki, ozdobionej obietnicami odgryzienia, ukręcenia i obcięcia pewnych rzeczy po kawałeczku, sprowadzał się do stwierdzenia, że jestem intruzem na nie swoim terytorium.

---

<sup>5</sup> Stosunek oralny.

Drzwi otworzyły się od kopniaka, a na progu ukazał się wcale nie jakiś babsztyl ze zjedzonym przez francę nosem, ale wbita w wyświechtane dzinsy szczupłowata blondynka w wieku mniej więcej dwudziestu lat, którą i dzisiaj zaliczyłbym do pierwszej dziesiątki najładniejszych okazów płci żeńskiej, spotkanych przeze mnie na przestrzeni moich obecnych lat czterdziestu.

Ujrawszy zeszyt z piosenkami, piękność z tajgi wyrwała go z moich rąk i rzuciła mi prosto w twarz kulinarną fantazją na temat jajecznicy z odpowiednich części mojego ciała.

– Chyba nie mówisz tego poważnie? – wyrwało mi się. Nieoczekiwanie stała się rzecz trudna do uwierzenia: czarująca miotaczka przekleństw pokryła się tak gęstym rumieńcem, że tej czerwieni starczyłoby zapewne i dla niewielkich piłeczek jej uwolnionych od stanika piersi pod lekką koszulką, i dla gładko toczonych bioder, i dla długich nóg w chińskich trampkach. Ciąg dalszy również był nieoczekiwany: blondynka gwałtownie odwróciła się i wybiegła, jawnie rejterując.

„Mamy pierwszy kontakt!” – skonstatowałem i z nią zgrozą pomyślałem, w jakie piekło może przekształcić się nasze życie, jeśli wszystkie chemiczki w Jagodnoje okażą się podobne do tej pierwszej spotkanej.

Wieczorem Gienek wziął kartkę papieru, podzielił ją kreską na dwie części i u góry postawił znaki + i –. Minusy były już wyliczone przez kapitana z komendantury specjalnej. Plusów w Jagodnoje było dwa: nieobecność komarów, które tutaj, w odróżnieniu od nizinnego Pier. Doła, wiatr zaganiał z powrotem do tajgi, oraz obecność kobiecego oddziału budowlanego „Amazonki” z uniwersytetu w Tomsku. Amazonki też mieszkały na osiedlu chemików. „Popchnąć sesję to pestka w porównaniu z tymi trzydziestoma trzema kobitkami...” – w zamyśleniu wyrzekł John Halak. „Można dostać świra” – odezwał się oszołomiony Czarni-

łowicz. Gienek ni z gruszki ni z pietruszki powiedział, że podobno antyczne amazonki, by poręczniej im było strzelać z łuku, odcinały sobie lewą czy też może prawą pierś. „Nie dopuścimy do tego” – otworzył usta częściowo tylko obecny Buhor, który już zdążył zaaplikować sobie kilka szklanek sikacza. Nasze domostwo zalała fala rozmarzonego milczenia.

Jak pokazały najbliższe dni, oddział „Amazonki” zupełnie nie przypominał rezerwatu płochliwych dziewic.

Po pierwsze, amazonki miały w swoim gronie „amazona” – trudnego wychowawczo małolata Witię, ucznia starszej klasy jednej ze szkół w Tomsku. Ostatnim osiągnięciem Witi, jak wieść niosła, było nalanie kwasu solnego na krzesło, na które z gracją opuściła swoją pupcię w sukience mini młodziutka nauczycielka biologii. W SOB-ie Witia rzeczywiście rozpoczął nowe życie. Szeregowe amazonki z odcieniem oburzenia relacjonowały, że wychowaniem małolata w pierwszej kolejności zajęła się kierowniczka oddziału Eleutyna – wysoka i kształtna dziewczyna, która przed dostaniem się na uczelnię służyła jako radiotelegrafistka w armii radzieckiej. W objęciach drugiej z kolei wychowawczyni, pulchniutkiej Nonny – komisarza oddziału, Witia, jak się zdawało, mógł jedynie wypoczywać.

My także nawiązaliśmy jakie takie stosunki z amazonkami. Ja nawiązałem je początkowo z przyszlą nauczycielką matematyki Leną, którą przyjaciółki nazywały Ellen. Obejmowałem ją na ławeczce przy stołówce, a Ellen, owiana chmurką tytoniowego dymu, opowiadała mi o swoich szwedzkich przodkach. W obliczu Ellen rzeczywiście można się było dopatrzeć czegoś skandynawskiego: miała proste lniane włosy, sięgające aż do miejsca, jakie oparzyła kwasem solnym nieszczęsna profesorka Witi; romboidalną twarz, od której wiało chłodnym wietrzykiem; a jasnoszare oczy, od których także ciągnęło morskim chłodem, niezmienn-



nie zachowywały senną obojętność, gdy próbowałem opowiadać jej o Białorusi, natomiast od razu ożywiały się, gdy poruszałem temat nocnych restauracji w Wilnie, zwłaszcza zaś gdy wspominałem „Dainowę”, gdzie w tamtych czasach stary Szaboniauskas (ten sam, którego głos słyhać z głośników w powieści Jonasa Avyżiusa „Czas opuszczania zagród”) jeszcze śpiewał o piękności Elit, poruszającej się po tym świecie na „nózkach cud”, a kobiety podrywały się od stolików i nagradzały siwego maestra czerwonymi różami.

Lekceważąc groźne ostrzeżenie komendantury, wieczorami kąpaliśmy się z Ellen w gliniankach, wprowadzając potencjalnych zabójców w błąd taktyką codziennego zmieniania miejsca kąpie-  
li. Czy muszę dodawać, że odważyliśmy się nie tylko na to? Rozściełanie dużego włochatego ręcznika na brzegu glinianki wymagało nie lada odwagi, bo dym ogniska wcale nie był zbyt radykalnym środkiem przeciw komarom. Ale ukłucia zaczynały piec dopiero w domu, a z naszych ablucji wracaliśmy cisi i łagodni. W zagajniku baraszkowały burunduki czy jakieś inne drobne zwierzątka, nad wierzchołkami modrzewi zapalały się pierwsze gwiazdki, a pod nogami można jeszcze było dostrzec niewiarygodnie duże jagody czernice, więc nasze usta wkrótce stawały się czarno-siwe, jak u nasyconych wampirów. „Wiesz, jak po białorusku gwiazda? – pytałem czule. Milczała rozleniwiona, więc odpowiadałem sam: „Zorka”. „A wiesz, jak miłość?” – nie rezygnowałem. „Nieee” – ciągnęła Ellen. „Kachańnie”. „Nie może być” – bezbarwnym głosem odpowiadała moja towarzyszka, czółenkiem dłoni przykrywając ziewnięcie.

Było nas tylko dziesięciu, a amazonek 3,3 razy więcej, dlatego też w atmosferze nad Jagodnoje pulsowało pole siłowe zdrowej kobiecej konkurencji. Pewnego wieczora miałem dyżur w stołówce z czarniutką amazonką Wiką i usłyszałem z jej ust swoją cha-

rakterystykę, którą Ellen podzieliła się ze swymi powiernicami. Według Ellen byłem niczego sobie facet, ale szajbnięty, bo zamiast normalnego preludium musiałem obowiązkowo opowiedzieć o swoim białoruskim bagnisku. Potępiające wydęcie usterek dyżurnej było adresowane, rzecz jasna, nie do mnie. Wika wykonała ruch bez pudła: natychmiast pożałowałem, że nie jestem małym Witią z kłopotami wychowawczymi i że Ellen nie jest moją nauczycielką biologii.

Nazajutrz w wieczorowym zwierciadle glinianki zamiast długich lnianych pasm przejrzały się czarne kędziory. W odróżnieniu od Ellen córka filologów z dziada pradziada, Wika, pozostawała nieprzystępna aż przez dwa dni. Nauczony smutnym doświadczeniem, dałem sobie słowo nie puszczać pary z gęby o Białorusi, ale udawać milczka też nie wypadło, więc trzeciego wieczora (do czego tylko potrafi zmusić wzburzona krew!) w przypływie idiotycznego natchnienia oznajmiłem nieoczekiwanie, że należę do wyznawców zoroastryzmu.

Nasza sekta istniała w głębokiej konspiracji, ale nie miała nic wspólnego z ascezą. Rozpinałem ostrożnie guzik za guzikiem i przyciszonym głosem wykladałem jej zachowane w pamięci resztki po egzaminie z naukowego ateizmu – o promiennym bóstwie noszącym niezwykle imię Ahuramazda, które prowadziło nieustanną walkę ze swym odwiecznym rywalem, wcieleniem ciemnych sił Anchramem-Majnią. Przyszły filolog Wika patrzyła na „sekiarza” zaokrąglonymi oczyma i w sposób widoczny pozbywała się ostatnich oporów na drodze do wstąpienia w szeregi zoroastrystów, których w rozkosznym przejęzyczeniu nazywała zorostryskami. Wspominam to z zażenowaniem i rozbawieniem jednocześnie. Dziwiąc się samemu sobie, wymyślałem na poczekaniu obrzęd inicjacji w naszej wierze, który w przekładzie z perskiego nazywał się „lotem nad szczytami”. Wika nie miała najm-

niejszej wątpliwości, że do naszego lotu należało zrzucić wszystko, co jeszcze na niej pozostawało.

Uszka, dłonie, stopy i cała reszta u Wiki były malutkie, więc gdy zwracałem się do niej po imieniu, miałem ochotę nazywać ją malutką Wiką.

Wielki i potężny Ahumarazda był z nas zadowolony, tym bardziej że moja ocena intelektualnych możliwości Wiki, zrobiona na podstawie „zorostrysków”, okazała się zbyt pospieszna. Malutka Wika lubiła twórczość Michaiła Afanasjewicza Bułhakowa, marzyła o zostaniu czyjąś Małgorzatą i czytywała egzystencjalistów. Epizod przejścia na zoroastryzm skomentowała później strofami z Pasternaka:

*Nawet jeśli zgrałaś się do nitki,  
Miałaś rację – należało grać.*

Powiniem dodać, że nie od autochtonów, a od niej właśnie dowiedziałem się o opuszczonym lotnisku wojskowym na wschód od Jagodnoje, gdzie po każdej ulewie z piasku wyłaniały się żółtawe ludzkie czaszki i piszczele, wśród których mogły znaleźć się także kości mojego dziadka Maksima, rozstrzelanego w 1933 roku. Pewnego razu w drodze z kąpieli Wika bojaźliwie opowiedziała mi o łagrze, gdzie trzymano uczestników brygad międzynarodowych w Hiszpanii – w większości cudzoziemców, którzy po wojnie domowej przybyli do kraju zwycięskiego socjalizmu. Przywódcy łagrowego ruchu oporu rzekomo zorganizowali ogólną ucieczkę i wyprowadzili międzynarodowych bojowników na otoczoną karabinami maszynowymi przesiekę.

Mój najlepszy przyjaciel Giemek spotykał się pod wygwieżdżonym syberyjskim niebem z amazonką o zupełnie nieamazońskim imieniu – Warwarą, sybiraczką w diabli wiedzą którym pokoleniu. Warwara rozmawiała mniej więcej w takim stylu: „No jak?

Wspak? A czego stoi pośród drogi?” To o niej, peryfrazując Igora Siewieranina, poeta M. Czarniłowicz powiedział:

*Amazonko spod Tomśka,  
Amazonko spod Tomśka,  
Jesteś cudna szalenie,  
Zwłařcza od tyłu...*

Zrządzeniem losu rywalką Warwary została syberyjska tatar-ka Amina, która doręczyła swój list w zaklejonej kopercie bezpośrednio do rąk Gienka. Warwary w pobliżu nie było, więc Gienek beztrósko ruszył ścieżką nad brzeg Keci, do tego cedru, gdzie – jak napisała Amina – kiedyś nazwała naszego byłego zaopatrzeniowca niedźwiedziem, choć z ich dwojga niedźwiedzia bardziej przypominała ona, szeroka w barach i zaokrąglona praprawnuczka Czyngis Chanowego wojownika.

Po godzinie spocony i zdyszany Gienek stanął w progu naszego fińskiego domku. Pod cedrem Amina poczęstowała go wodą ognistą, następnie zaś, idąc pewnie za zwyczajem swego starożytnego narodu, odśpiewała parę przeciągłych gardłowych pieśni, a potem, widocznie kontynuując ów zwyczaj, bez zbędnych słów powaliła Gienka na mech.

Jeśli sądzicie, że chemiczki pogodziły się z naszym względnie harmonijnym (Misza Buhor mawiał: hormonalnym) współżyciem z amazonkami, to się mylicie. Rozrywkowe leningradczanki również walczyły o nasze serca, wykorzystując w tej walce najróżniejsze środki.

Codziennie w porze obiadowej, zgodnie z umową z amazonkami, przynosiłiśmy na kuchnię trzy trzydziestolitrowe kotły wody. Tragizm sytuacji polegał na tym, że przykrywka od kotła gdzieś się zgubiła. Od studni do stołówki była jakieś pół kilometra – mniej więcej w połowie drogi dołączała do nas grupka chemiczek. Wszystkie co do jednej były sympatyczne, umalowane,

w krótkich obcisłych spódniczkach i różnokolorowych koszulkach, z paseczkami wokół cienkich talii. Krążyły dokoła nas jak różnobarwne motyle.

Któryś z tych motyli zaczynał niemal z czułością: „Studenciaki kochane, ulitujcie się nad biednymi dziewczynkami”. „Wyschłyśmy na wióry bez męskich pieśczoł” – kontynuował następny owad. Potem można było usłyszeć coś w tym rodzaju: „A temu brodatemu dałabym ze sto razy. Słyszysz, brodaczu? Nauczyłeś się już całować?”

Początkowo nieśliśmy swój krzyż w postaci ciężkiego kotła w milczeniu, ale westalki wolnej miłości szybko stawały się bezcelne i zaczynały przypominać nie motyle, a natrętne osy. „Chłopaki, tylko nas spróbujcie, a zobaczycie, że za uszy was trzeba będzie odciągać” – proponowały, demonstrując nam niezbyt skromne pozy. „Spadaj stąd, ścierwołatko, bo ci z broszy zrobię cholewę” – strasznie odgrażał się „brodaczu”, ale to wywoływało tylko rechotliwy śmiech.

Niedaleko od kuchni nasza eskorta stawała się agresywna. Leningradczanki wykrzykiwały groźby pod adresem amazoнок, które, jak powiadały, za...ły biednego Witię, wyzywały amazonki od suczek i kurewek, a nas od impotentów. Ale najgorsze było na przedzie. Przed samą stołówką któraś z towarzyszących nam kobiet raptem „domyślała się”: „Słuchajcie, dziewczyny, przecież oni się boją od nas zarazić”. Jej przyjaciółki migiem doskakiwały do nas i z dziarskim okrzykiem „No to macie syfa!” pluły do nie przykrytego kotła.

Piasek prędko wchłaniał sprofanowaną wodę, a my jak potępięcy zawracaliśmy do studni. Dyżurna amazonka dopędzała nas z pudełkiem proszku i kazała porządnie wyszorować kocioł, a nasze prześladowczynie w oddali zanosily się śmiechem i przyrzekały przelecieć najpierw każdego z nas, a potem każdą amazonkę.

Wreszcie zaczęliśmy organizować wyprawy po wodę z ochroną: dwóch dźwigało kocioł, a czterech ze sztachetami odpędzało leningradzkie plujki.

Za dnia kopaliśmy doły, zbijaliśmy deskowania, uwijaliśmy się przy olbrzymiej turkoczącej betoniarce i oddawaliśmy się marzeniom o wieczornych randkach.

Koło północy pary ściągaly do ogniska, roznieconego na wygonie za osiedlem chemików, żeby w zamyśleniu wpatrywać się w ogień.

Z ciemności wyłaniali się młodzi chemicy z gitarą i przyjacielsko przysiadali się na leżące obok ogniska bierwiona. Mościli na czerwonych węglach konewki albo imbryczki na czaj i zaczęli śpiewać. Brzmiały „Prokurator żądał kary śmierci”, „Gdy nad Tomskiem opada mgła, nie mogę zapomnieć twej zdrady”, ale najrzewniej wychodziła im „Dzień dobry, Newski, dzień dobry, Kirowski”, ponieważ wielu z naszych sąsiadów pochodziło z Pitra.

Idyllę gitarowych akordów, dziewczęcych główek spoczywających na twardych męskich ramionach i łagodnego czajowego hajcowania burzyło wtargnięcie watahy wyrostków. Ci obrzydliwie bluzgali, swobodnie posługiwali się grypsera, chwalili się, kto ile razy „przerąbał” swoją „czuczundrę” i demonstracyjnie zabawiali się spężynowcami, z których rękojeści wyskakiwały lekko połykujące żądła ostrzy.

Początkowo uznaliśmy to towarzystwo za małych chemików, tym bardziej, że wyrostki ochoczo opowiadali, za co i z jakiego artykułu siedzieli, ale prawdziwi wolni osiedleńcy wyjaśnili nam z pogardą, że są to tylko miejscowi szpanerzy, zajęci poszukiwaniem swoich życiowych ideałów.

Leningradczanki do ogniska nie przychodziły. Trzeba przyznać, że choć zaczępały nas przy stołówce, męskiej uwagi im nie brakowało. Na każdą przypadało średnio po trzech chemików.

Zazwyczaj kwaterowano ich według formuły 3+1, choć „pułkownicy” mieli prawo wyboru i mogli trzymać niewielki harem, po miejscowemu „kurnik”. Komendantura zupełnie nie interesowała się problemami poligamii.

Niemal każdy dzień naszego życia stał pod znakiem jakiegoś godnego uwagi wydarzenia.

Bywało, że trudny przypadek wychowawczy, mała Witia, doszczętnie oglupiała od „trzech siódek” i amatorów z kierownictwem amazoнок, nałowi do worka z pół tuzina zdziczałych kotów, podniesie je wieczorem razem z flagą oddziału budowlanego na nedorzecznie wysoki maszt, potem przetnie linkę na bloczku, a koty będą wrzeszczeć jak zarzynane, nie ustając ani na sekundę, dopóki jakiś chłopak z Pitra za butelkę „777” nie natrze rąk smołą, nie wdrapie się na śliski pręt i nie zrzuci żywej rozgłośni na dół, a czworonożni więźniowie nie rozpierzchną się po okolicy – wszyscy co do jednego cali i gotowi do nowych przygód.

To znów dwójka Abchazów, którym zostało dosłownie kilka dni do wyjścia na wolność i wyjazdu do Suchumi, chwyciła w miejscowym sklepie za noże i zarobiła nowy wyrok.

Albo też sensacją stał się przyjazd młodej żony kierownika portu w Mikołajewie, który kończył wyrok na chemii w Jagodnoje za operacje z walutą.

Żonę waluciarza natychmiast ochrzczono Diekabrystką. Sądząc po konserwach (od samych nazw – kraby po japońsku, zupa z homara – ciekła ślina), które podgrzewała koło ganku na roznieconym pomiędzy dwiema ceglami ogniu, a także po zmienianych codziennie sukienkach z grepliny, portowemu aktywiście udało się co nieco odłożyć.

Wieczorem szczęśliwa para, trzymając się za ręce, wychodziła na spacer, odprowadzana pochmurnymi spojrzeniami sąsiadów.

To był ich błąd. Gdy waluciarza wysłano na dwa dni do odległego obiektu w tajdze, siedmiu chemików o zmroku odwiedziło Diekabrystkę i gwałciło ją (w miejscowej gwarze określano to delikatnie „próbą chóru”, a niedelikatnie – „pójściem na fretkę”) aż do rana. Po tym wszystkim ostrzegli ją, że jeśli zamelduje w komendanturze, to za trzy dni na miejscowym cmentarzu pojawią się dwie nowe mogiły: jej własna i – żeby się jej nie cknęło – także jej męża. Przystroję powtórzono też kierownikowi miłokajewskiego portu, którego profilaktycznie w biały dzień przewrócono na ziemię i bez złości, ale fachowo i długo kopano nogami, jak gdyby wykonywano niezbyt przyjemną, ale konieczną procedurę. W tutejszym żargonie nazywano tę procedurę „samokształtem”. Właśnie szliśmy na obiad i wszystko widzieliśmy, ale pozostaliśmy tylko widzami, bo mieszanie się do nie swoich spraw groziło „szwają w bok”.

Pewnego dnia w niebie nad osadą pojawił się helikopter straży pożarnej, podobny do ugotowanego raka ze śmigłami. Na linie miał przytroczony niewielki, owinięty w brezent ładunek, kiwający się jak wahadło zegara. Helikopter zrzucił ładunek na podwórko komendantury. Jagodnoje dowiedziało się: strażacy odnaleźli to, co pozostało z pięciu zeków, którzy w marcu drapnęli na wolność z pobliskiej (według syberyjskiej skali) zony. Poszła pogłoska, że piątego uciekiniera towarzysze wzięli jako „krowę”, inaczej mówiąc, żeby go zjeść. „Tajga jest prawem, a niedźwiedź gospodarzem” – skomentował wydarzenie główny pułkownik chemików wujek Kola, moskwianin z wytatuowanym na piersi portretem Stalina. Powiadano, że wujek Kola żyje na Syberii od samej wojny, na przemian w zonie i na chemii.

Przez cały ten czas na próżno wypatrywałem chemiczki, którą spotkałem pierwszego dnia. Nigdy się nie pojawiła ani wśród natrętnych plujek w okolicach stołówki, ani wśród tych kobiet, któ-



re wieszały na sznurach upraną bieliznę swoich włodarzy bądź też gotowały coś na ceglach. W końcu właścicielka śpiewnika dała o sobie znać sama.

„Hej, studenciku!” – usłyszałem pewnego dnia, taszcząc wraz z Gienkiem ciężkie blaszane nosidło z betonem. Na ścieżce, z rękoma w kieszeni, stała czarująca miotaczka przekleństw, sprężyste kołysząc się w przód i tył. – „Chodź zapalimy – zaproponowała z ironicznym wyzwaniem i zapewniła: – Nie bój się, dzisiaj jestem porządna”. Nie bałem się, bo czułem, że tamtego pierwszego razu pomiędzy nami przeskoczyła iskra, po której nie można zrobić sobie żadnego świństwa.

Z ciepłego płaskiego kamienia na wysokim brzegu było widać motorową barkę płynącą daleko w dole po Keci. Pomyślałem sobie, że może na takiej barce czterdzieści lat temu wieziono na śmierć mego głodnego i zawszonego dziadka Maksima.

Niektórzy ludzie z niewiadomych powodów nabierają ochoty do opowiadania mi swoich historii.

Gdzieś na Wasiliewskim Ostrowie w Leningradzie biegła do szkoły i na kółko literackie dziewczynka Irina, którą w dziesiątej klasie na szkolnej uroczystości z okazji kolejnych urodzin Komсомоłu zaprosił do tańca nieznamy młodzieniec Jura, przedstawivszy się jako filozof.

Filozof miał kieszenie wypchane pieniędzmi, zasypywał Irę kwiatami, a także w kawiarniach stawiał lody i jej ulubioną bitą śmietaną z suszonymi morelami i orzeszkami, które tak smakowały pod białe wytrawne wino. Potem była wyprawa do sławetnego piteńskiego „Nordu”, skąd pojechali do Jury. Gdy taksówka odwoziła Irę do domu, a Jura trzymał ją za rękę, lzy w jej oczach dawno już wyschły, a serce zakwitowało radością pod nazwą: „Jestem kobietą!”.

Naszkcicowana przez filozofa Jurę przyszłość w swej prostocie przypominała plan szkolnego wypracowania na temat „Pie-

czorin jako człowiek zbędny”. Punkt 1. Wydział filozoficzny na uniwersytecie. 2. Ślub po pierwszym roku – dlatego że Jura w żaden sposób nie wytrzyma dłużej... Mamie na razie oczywiście ani słowa.

Mama Iriny o niczym się nie domyślała, dziwiąc się tylko, że zajęcia w kółku literackim stały się niemal codzienne.

W okolicach Nowego Roku Jura miał urodziny. Ira w tajemnicy przed matką sprzedała w antykwariacie kilka cennych, przedrewolucyjnych książek i długo chodziła po sklepach, uważała, że filozofom nie wypada dawać banalnych prezentów. Wybrała żółto-zielony szalik, a w sklepie zoologicznym kupiła papużkę w tych samych barwach i zaczęła uczyć ją słów „Sokrates” i „Heraklit”. Przez pozostający do dnia urodzin tydzień ptaszek nauczył się dosyć czysto wymawiać „Hera”, a zamiast „Sokratesa” wrzeszczał „Kraty”. Na miasto padał skrzący się śnieg i życie przypominało zimową baśń.

Parę następnych stronic natury zbyt uczuciowe mogą pominąć.

Filozof Jura również przygotował Irinie niespodziankę. Po kilku kieliszkach szampana ukochany oświadczył, że powinna udowodnić, że naprawdę jest dla niej drogi. Dlatego powinna oddać się każdemu z jego zaproszonych przyjaciół. Nie dała wiary swoim uszom, zerwała się, żeby uciekać, ale nogi jej nie słuchały – wino zrobiło swoje. A może nie tylko wino, ponieważ doznała wrażenia, że wszystko to działo się nie z nią, a z jej sobowtórem, Irką nr 2, podczas gdy ona, Irka nr 1, patrzyła na to zza kryształowego wisiorka pod lustrem.

Jura przekonywująco, jak hipnotyzer, wyjaśniał, że jego przyjaciele są ludźmi o szerokich poglądach, że wszyscy mają przywoite i głębokie natury, że o tym wieczorze nikt nigdy się nie dowie, a ona przez kilka godzin zdobędzie doświadczenie seksualne, na jakie inne dziewczyny potrzebują całe lata...

Na przyjęcie urodzinowe przyszły trzy głębokie natury. Żeby ustalić, kto pierwszy zacznie jej przekazywać doświadczenie seksualne, wyciągnęli z talii po karcie. Jura demokratycznie losował razem z innymi, wyciągnął blotkę i okazał się ostatni w kolejce. Irinie nalano jeszcze trochę wina, po czym jej świadomość zaczęła działać z przerwami – jak gdyby ktoś zaciągał i odciągał czarną zasłonę przed jej oczyma. W jednej z odsłon udało jej się zapamiętać Jurę stojącego nad kanapą i celującego w nią z aparatu fotograficznego. W innej ujrzała, jak goście znowu ciągnęli karty i dwóch z nich wyciągnęło asy, po czym Jura powiedział, że obaj jednocześnie mają pierwszeństwo, dlatego teraz dziewczyna doświadczy czegoś nowego...

Rankiem Irka ocknęła się w ramionach Jury. Jura od razu nalął jej kieliszek szampana, a potem jeszcze jeden. Był jak zwykle czuły, całował ją w nos i w ciemię i przekonywał, że wszystko wczorajsze było snem. Kochała Jurę, dlatego zgodziła się: tak, to był tylko sen. Wyobraziła sobie, że Irka nr 1 wróciła wczoraj zza kryształowych wisiorów i dzisiaj poszła do szkoły. Zaś Irka nr 2 śni się jej nadal i w tym śnie pozwala się obejmować i nazywać poprzednimi pieszczotliwymi słowami, z chłodną jasnością, że już nigdy nie wróci ani do szkoły, ani do domu.

Do wiosny mieszkała u filozofa Jury, niemal nie wychodząc z jego kawalerki, żeby przypadkiem nie natknąć się na kogoś znajomego. Wieczorami, uciszając żółto-zieloną papużkę, z napięciem wsluchiwała się w odgłosy z klatki schodowej, lękając się, że Jura może nie wrócić. Jednak niezmiennie wracał, przynosząc nie tylko wino, ale często także kwiaty.

Wiosną filozof zaczął coraz częściej popadać w zamyślenie i rozdrażnienie. Pewnego dnia Irka zakręciła prysznic w łazience i usłyszała, jak Jura przyciszonym głosem, z dobrze jej znaną ciepłą intonacją zaprasza jakąś kobietę do siebie na urodziny.

Jaki scenariusz był przewidziany tym razem, Ira się nie dowiedziała. Jura wysłuchał jej łzawych wyrzutów, po czym z czarnej koperty po papierze fotograficznym wyciągnął zdjęcia z minionego dnia urodzin, który obchodzono trzy miesiące temu. „Jeszcze mi tu, kurewko, zgrywasz niewiniątko? – krzyczał. – To popatrz sobie, popatrz sobie na dziewczeczkę Irenkę! Oto ona, nawiasem mówiąc, nie z Jurą ukochanym, a z Siergiejem... a na twarzyćce niewinnej jakie uczucia się malują? Nie, sędziowie przysięgli, nie zgroza i nie wstręt. Nasza dziewczeczka wybałusza oczęta z rozkoszy...”

Przez kilka dni Irka nocowała na dworcu, gdzie spróbowało ją zgwałcić dwóch chłopaków z przechowalni bagażu. Trzeciej nocy dojadła resztki chleba pozostawione na foliowych talerzykach w bufecie i tam chwyciły ją wymioty.

Głodna i chora na grypę wróciła jak zбитy pies do Jury. Teraz wszelkie sentymenty się skończyły i ich życie zaczęło rzeczywiście przypominać stosunki pomiędzy gospodarzem i psem. Karcił ją, czasem brał do siebie do łóżka, bił stalowym ekspanderem, kiedy odmawiała wykonywania jego męskich komend, a nawet prowadzał na spacer – ciągał za sobą po różnych melinach, już nie ukrywając, że jego studia filozoficzne polegały na nielegalnym handlu dżinsami i płytami.

Jura upajał się swoją bezgraniczną władzą. Gdy w czasie wspólnych wyjść do miasta zachciewało mu się seksu, „filozof” nie czekał na powrót do domu, a bezpośrednio u kogoś w mieszkaniu, mrugnawszy porozumiewawczo do gospodarza, wyprowadzał Irkę do innego pokoju albo do kuchni, zaś na ulicy prowadził do najbliższej bramy, rozpinął zamek błyskawiczny dżinsów i pochylał jej głowę.

Latem, kiedy zgodnie z planami, pochodzącymi jeszcze z beztroskiej i szczęśliwej zimy, Irina miała zdawać egzaminy na filo-

logię, bezgraniczna władza nad dziewczyną przejadła się Jurze i chłopak przyprowadził do siebie jakąś Wierę, a swojego „psianka” wypędził na ulicę, wręczając „na zagospodarowanie” 10 rubli 50 kopiejek i klatkę z papużką. Na pożegnanie musiała odbyć jeszcze seans miłości z filozofem, a obecna przy tym Wiera pewnym ruchem sięgnęła do szafy po aparat fotograficzny.

Słuchałem starając się wyobrazić, jak poprzedniczka tej dzisiejszej, przesiąkniętej nikotyną chemiczki, grzeczną lenigradzka dziewczynka Ira, o krok od zdobycia poetyckich laurów, czytywała swoje białe wiersze na zajęciach kółka literackiego, dyskutowała nad utworami rówieśników i nazywała antypoetyckim wiersz kolegi z klasy pod tytułem „Tańczące dziewczęta”, zawierający strofy: „Błyskają w tańcu cud nóżkami dwiema, lecz dla serca między nimi miejsca nie ma”.

Z ulicy Irkę przygarnął Żora zwany Kotem, u którego lewe oko było naturalne i brązowe, a prawe szklane i błękitne. Żora był człowiekiem wspaniałomyślnym, ale dwie wyprawy do zony w Mordwie (gdzieś tam pod chłodnym księżycowym blaskiem przyjaciele przegrali w karty jego jedno oko) do reszty pozbawiły Kota jakiegokolwiek delikatności w kontaktach z kobietami. Najculsze słowa, jakie Irka słyszała od niego bezpośrednio przed zbliżeniem, to były urywane komendy w rodzaju: „Kładź się!” albo „Na stojaka!”. Kiedy Żorę wzięli po raz trzeci, była świadkiem na jego sprawie, a potem na państwowy koszt przyjechała na chemię, gdzie zajęła się układaniem śpiewnika, który trafił w moje ręce w dzień naszego przyjazdu do Jagodnoje.

Kiedy Irka umilkła, zza zakrętu ukazała się masa spławianego rzeką drzewa, ale teraz nie przypominał mi się dziadek Maksim. Patrzyłem na jej cienkie nogi w kostkach i smukłe przeguby rąk, i myślałem, że jest o wiele ładniejsza od Wiki. Nie bardzo wie-

rzyłem ani w Żorę zwanego Kotem, ani w filozofa Jurę, który idąc z nią po Litiejnym mógł skrócić w dowolną bramę i rozpiąć zamek błyskawiczny swoich dzinsów. W zakamarkach duszy tliła się nadzieja, że wszystko to należy do tego samego gatunku bzdur, którymi karmiły nas zgrywające się na gitowców wyrostki z Jagodnoje.

„Wiesz co, nie wierzę ci” – bąknąłem jakoś dziecinnie, żeby cokolwiek powiedzieć. Twarz Irki pokryła się czerwonymi plamami, dziewczyna szarpnęła i zadarła w górę koszulkę z olimpijskimi kółkami. „A to widziałeś?”

Po tym pokazie długo jeszcze bałem się patrzeć na kobiece piersi w pełnym świetle, bowiem nie widziałem chyba nic straszniejszego niż te młode piersiątko pokryte gęstą siecią sinomartwego tatuażu.

„Teraz to wszystko! Spie...j!” – wściekle wycodziła Irka. – Zaplątałeś? Spie...j!” Czy to od nie zdeptanego niedopałka, czy też może od wybuchu wściekłości Irki zaczęło się tlić poszycie pod jej nogami. Zerwała się i jej wciąż jeszcze świeże, czereśniowe usta sypnęły taką wiązanką, że moje uszy zapragnęły zwinąć się w spirale, a głowa wcisnąć się w ramiona i jeszcze dalej, żeby ukryć się gdzieś na dnie żołądka.

Ścieżka prowadziła mnie precz, a w kark wpijały się nabrzmiałe nienawiścią pająki słów, wśród których „spie...j!” było jednym z najmniej obrzydliwych.

Poczucie, że popełniłem jakąś okropną pomyłkę, tam, na ciepłym kamieniu nad rzeką, nie opuszczało mnie przez cały następny tydzień. Możliwe, że było ono także podsycane zleceniem na wykonanie pięciu typowych drewnianych ubikacji. Nam z Gienkiem przypadło w udziale kopanie dołów i zbijanie siedzeń z wyciętymi otworami. Poczawszy od najprostszego, klasycznego rombu, stopniowo przeszliśmy do serca, a pod ko-

niec z pomocą piły otwornicy i dłuta poczęliśmy arcydzieło w kształcie pięcioramiennej gwiazdy.

(Po pół roku, kiedy zaczną nas ciągać za samizdaty – pisaną odręcznie „Błękitną latarnię” w Nowopołocku i maszynopisową „Miławicę” na rodzimym wydziale historycznym – major KGB podczas rozmowy profilaktycznej powie mi te słowa: „Nie próbujcie się wykręcać. Wiemy o was zdecydowanie wszystko. Na przykład o tej waszej, że tak się wypowiem, toaletowej sztuce w oddziale budowlanym. W swoim nacjonalistycznym zaślepieniu doszliście do wyrafinowanej profanacji pięcioramiennej lenińskiej gwiazdy”. Próbując się usprawiedliwiać, nazwałem nasze skromne osiągnięcia nieszkodliwym żartem, ale efekt był odwrotny od zamierzonego. „Znaczy się, ktoś spuszcza spodnie, załatwia się na drogi dla każdego radzieckiego człowieka symbol i to jest, po waszemu, żart?” „To dawny symbol solarny – broniłem się dalej. – Jeszcze starożytni Hindusi...” „Możecie te bajeczki opowiadać swoim starożytnym Hindusom...” „Swastyka, nawiasem mówiąc, to też symbol słońca” – wyrwało mi się nieostrożnie, po czym zostałem zastopowany lodowatym pytaniem: „Dlaczego w takim razie nie wycięliście swastyki?”)

Nasz urozmaicony niewielkimi przygodami ale na ogół uporządkowany żywot zmienił się raptownie, gdy prozaik John Halak otrząsnął się ze swego odrętwienia i nieoczekiwanym manewrem odbił czarniawą amazonkę Świetłankę kierownikowi robót budowlanych, któremu podlegaliśmy.

Jeśli nigdy nie remontowaliście kolejki wąskotorowej, wbijając po pięćset klinów dziennie w sprężyste podkłady, ciężko wam będzie zrozumieć, dlaczego z taką tęsknotą wspominaliśmy solidny turkot betoniarki i głębokie nosidła z zaprawą albo z piramidą cegieł. Na pocieszenie pozostała jedynie konstatacja, że każda sytuacja ma także swoje dobre strony.

Wąskotorówka w tajdze pomogła wczesnemu mnie głębiej przeżyć i zrozumieć wczesnego Uładzimiera Karatkiewicza, którego wówczas odkrywałem dzięki Gienkowi – pierwszemu na mojej drodze pisarskiej człowiekowi z miasta, który mówił do mnie po białorusku nie ze sceny i nie z ekranu telewizora.

Zgódźmy się, że czytanie ballady „Pauluk Bahrym” przez kogoś walającego się na żelaznym łóżku w akademiku i sączącego „Lidzkie” albo „Żigulowskie” prosto z butelki to jedno, a otwarcie książki podczas krótkiej przerwy na papierosa, gdy od świtu do zmroku macha się zza głowy kowalskim młotem, starając się trafić w krnąbrne kliny – to zupełnie coś innego, ponieważ słowa zdają się przystawać jak ułaj do sytuacji:

*W moim kraju jest ciężko  
(Osiki czerwienią się hańbą),  
Nad nim puszy się i nadyma  
Pijany, rozwiążły stupajka.  
Jak za księcia Wsiestawa –  
Dzień za długi i pajda za mała.  
Jak za księcia Jagielły –  
Na każde plecy jedna nahajka.*

Szkoda, że nowa praca sprzyjała jedynie głębokiemu wnikięciu w tajemnice twórczości literackiej. Z innym wnikiem było gorzej. Mijając nas na jazgotliwej drezynie podobny do chomika z nadętymi policzkami kierownik robót złośliwie wykrzykiwał: „No co, studenci, uje...ni?”

Nieprzyzwyczajeni do takiej harówki, przez parę pierwszych dni rzeczywiście ledwo wkleiliśmy się do naszych leży, a zbliżając się na miękkich nogach do ogniska, prawie natychmiast zasypialiśmy z głowami na ramionach naszych kobiet. To wtedy Michał Czarniłowicz nazwał młot kowalski najlepszym środkiem antykonceptyjnym. Ale młode organizmy szybko doszły do siebie i de-



finicja Michała straciła na aktualności, jeszcze nim czarniutka Świetłanka zatęskniła do męskich pieścizot na tyle, by wrócić do chomikowatego kierownika.

Z chemikami, jak poprzednio, spotykaliśmy się tylko przy ognisku, co zazwyczaj nastraja człowieka pokojowo. Działała między nami niepisana umowa: oni nie będą zaczepiać nas i amazonek, a my, studenci, nie będziemy nadawać glinom, cokolwiek by się w osiedlu działo.

Pokojowe współistnienie pękło jak bańka mydlana na Dzień Budowniczego.

W przeciągu dwóch miesięcy pobytu w oddziale budowlanym ta sierpniowa niedziela była zadekretowana jako jedyny dzień świąteczny, kiedy można się było wyspać do woli i zorganizować legalną balangę.

Uzgodniliśmy ze swoimi amazonkami, że spędzimy święto na tarasie – otoczonej cedrami polance, urywającej się nad rzeką stromo niby mur fortecy. Krążyła pogłoska, że w czasach Stalowego Józefa z tego urwiska wyprawiano do raju albo i piekła kuracjuszy GUŁAG-u, dlatego też tubylcy i chemicy niezbyt cenili ten taras. Nas takie słuchy nie odstraszały i każdy (rzecz jasna, nie w pojedynkę) zdążył już ocenić wartość tego miejsca, podobnego do zacisznej altanki, gdzie po miłosnych harcach można było do woli, nie wstając z ziemi, najeść się dużych, słodkich borówek.

Wszystko poszłoby gładko, gdyby Buhorowi razem z Tolkiem Raslinskim nie zechciało się wypić z samego rana. Trudno mi powiedzieć o Tolku coś konkretniejszego, oprócz uwagi, że w ustach błyszczał mu złoty ząb, a jego właściciel bez poważniejszych sukcesów trenował w sekcji bokserskiej, dlatego też przywiózł ze sobą na Syberię rękawice i czasem boksował z trudnym wychowaczko małolatem Witią.

Misza Buhor był osobowością zupełnie innego pokroju i wymiaru.

Przez pięć lat Misza pływał na ŚTR, co tłumaczy się jako średni trawler rybacki.

Życie na morzach trudno nazwać szkołą wysokiej moralności.

Misza pił whisky na Nowej Fundlandii i całymi galonami kupował spirytus w aptekach Hawany i Santiago de Cuba, wywołując popłoch i zgrzytanie zębów tubylców. Zmyty falą za burtę u wybrzeży Danii, trafił do portowego szpitala, a stamtąd, dzięki znajomości z wąsatym polskim marynarzem, który uznał w nim swego rodaka, do tamtejszego domu publicznego.

W domu pod czerwoną latarnią przyjaciele siorbneśli sobie rumu, wybrali z podanego przez madame albumu ze zdjęciami po dziewczynie i skierowali się do pokoi.

W najbardziej odpowiedzialnej chwili Misza ze swoją małą Mulatką usłyszeli dyskretne pukanie do drzwi, a za nim delikatne pytanie w najczystszy języku rosyjskim: „Towarzyszu Gorielik, jesteście tam?” Oklapnięty Misza nie zdążył wciągnąć spodni, gdy z korytarza usłyszał już nie pytanie, a rozkaz: „Towarzyszu Gorielik, otwierajcie! Wiemy, że tam jesteście”. Za drzwiami stał młodszy pracownik ambasady radzieckiej, którego wysłano wypisać Miszę ze szpitala.

Przez całą noc Misza za ostatni grosz stawił pracownikowi ambasady alkohol w portowych barach, śpiewał z nim rzewne rosyjskie pieśni i wysłuchiwał twardych męskich obietnic, że on, pracownik ambasady, będzie milczał jak mogiła i wszystko zostanie pomiędzy nimi dwoma.

Kiedy statek dostarczył Miszę do Tallina i zuchowaty marynarz cicho pogwizdując zszedł na nabrzeże, przy stojącej tam czarnej wóldze zatrzymał go specjalnie nie rzucający się w oczy człowiek w płaszczu nieprzemakalnym. Okazał się funkcjonariuszu-

szem wydziału KGB do pracy z marynarzami i wytłumaczył klientowi domu publicznego, że ten zhańbił godność człowieka radzieckiego i komunisty, i zasłużył na skreślenie z listy załogi.

Przybicie Miszy do macierzystego portu było więc nietypowe. Zazwyczaj, czując pod nogami nabrzeże Tallina, Buhor i kompania takich jak on sam hulaków obrzucali okolicę pogardliwymi spojrzeniami albatrosów, wypuszczonych na jakąś zakazaną sadzawkę i zwartą watahą szli na postój taksówek. Wyprowadzenie do tallińskiej dzielnicy Piryta miało swój rytuał. Szanujący się wilk morski brał nie mniej niż trzy taksówki. Do pierwszej niedbale wrzucał swój nabyty gdzieś w sztormowych szerokościach geograficznych kapelusz, w drugiej umieszczał walizę, a do trzeciej pakował się sam. Kawalkada samochodów zatrzymywała się w pobliżu przycumowanego szkunera-restauracji, gdzie ucieszona obsługa pospiesznie wystawiała wszelkie łądowe drobiazgi na stoliki.

Na kilka dni żeglarze zaprowadzali na szkunerze reżim okupacyjny, nocując tam i myjąc szampanem nogi przed pójściem spać. Zakupiony wraz z bebechami personel balangował razem z gośćmi, doskonaląc znajomość wielkiego i potężnego języka starszego brata. Wszyscy do wszystkich odnosili się z szacunkiem i życie przypominało zabawę delfinów w akwamarynowym Gólfströmie.

Ale niepostrzeżenie nadciągał czuły moment rozstania z zarobionymi na morzach i oceanach pieniędzmi, po czym kelnerzy i kierownik restauracji bez zbędnych ceregieli wyrzucali ociężałych delfinów na chłodny i pusty brzeg. Chłopaki obejmowali się na pożegnanie i rozjeżdżali do rodzin, żeby zalec na dnie i przeczekać jakiś miesiąc lub półtora do następnego wyjścia w morze.

Żebyście lepiej zrozumieli, kim był Misza Buhor, muszę też wspomnieć historię z muchami.

Pewnego razu, już po zwiedzeniu dzielnicy Piryty Misza zatrzymał się w Tallinie i opanowany smętnymi myślami o nieubłaganym nadejściu trzeźwych i głodnych dni, wygrzebawszy ostatnie ruble wstąpił do jakiejś knajpki, gdzie stał się świadkiem straszliwego skandalu. Jakiś sokolooki gość znalazł w sosie muchę. Zaczął więc wygrażać na całą salę, że napisze do centralnych i miejscowych gazet, a kelnerzy, kucharz i kierownik ustawili się przed nim na baczność i zachłystywali się przeprosinaami. Incydent zakończył się tym, że szacowny gość, który nie lubił sosów z muchami, opuścił lokal nakarmiony i napojony do syta, nie płacąc w dodatku ani grosza.

Gdy Misza wrócił do marynarskiego hotelu i natknął się wzrokiem na łażącą po suficie muchę, natychmiast przystąpił do dzieła. Niebawem ze dwa tuziny sześcionogich okazów już się suszyło na rozpostartej gazecie „Marynarz Bałtyku”.

Początek operacji wypadł znakomicie. Restaurację najelegantszego w tamtych czasach tallińskiego hotelu „Viru” Misza opuścił z żołądkiem wypełnionym wyborowym jadem i pićciem. Niestety, nazajutrz w „Starym Tomasie” obsługa okazała się ciężko kapująca i Misza musiał długo wyjaśniać, że w całym cywilizowanym świecie w takich wypadkach gościa karmią i poją za darmo. Trzeciego dnia wpadł już na całego, gdy po zjedzeniu bulionu ozdabiał schabowego owadem, wysypanym z fiolki na leki. O wynalazcy napisała prasa i chociaż Misza zdążył wykorzystać tylko trzy muchy, rachunki za darmowy poczęstunek wystawiło mu aż siedem restauracji i kawiarni.

Historii z muchami wysłuchałem siedząc w saloonie. Tak nazwaliśmy drugi pokój w naszej syberyjskiej chacie, gdzie zmajstrowaliśmy koślawy stół i parę ławek, a młody prozaik John Hałak zdobył gdzieś dziecięcy komplet do wypalania i natchniony opowiadaniem brata wypalił na belce nad wejściem:

„Tu mieszkają dzieci Johna Barleycorna”. Misza lubił poezje Roberta Burnsa.

Tam też, w saloonie, wśród zapachów mocnego tytoniu, przywiedłego bagna i spoconych męskich ciał usłyszałem dramatyczne opowiadanie o służbie Miszy w armii radzieckiej.

Swoją zaszczytną obowiązek wobec socjalistycznej ojczyzny Misza spełniał w gęstych lasach pod Pskowem, gdzie miejscowi mieszkańcy (nazywający siebie „psowianami”) wyjaśnili młodemu żołnierzom, że święto u nich nie jest uważane za prawdziwe święto, jeśli w trakcie obchodów kogoś nie zarzną. A do tego przed pierwszym świętem trzem poborowym nie otworzyły się spadochrony na dywizyjnych ćwiczeniach i Misza poczuł, że żadna siła, nawet groźba rozstrzelania, nie zmusi go do wyskoczenia z otwartego luku samolotu.

Do cywila pofrunął rozpaczliwy list do ulubionego wujka, wiejskiego felczera. Długa odpowiedź wujka w całości była poświęcona wspomnieniom o tym, jak to w dzieciństwie Misza lunatykował i nocami spacerował nieprzytomny z wyciągniętymi przed siebie rękami, budząc popłoch wśród młodszych braci i siostrzyczek.

Tej samej nocy szeregowy Gorielik cichutko podniósł się z łóżka i z wyciągniętymi niczym ślepiec rękami ruszył, z towarzyszeniem symfonii żołnierskich pochrapywań, w kierunku stolika dyżurnego kompanii. Ten także chrapał, więc żeby zwrócić na siebie uwagę, „lunatyk” musiał dwukrotnie walnąć dyżurnemu po uszach. Przeniesiono go do szpitala na obserwację, gdzie był podejrzewany o symulowanie, ale żelazna wola pomogła synowi prostego białoruskiego wieśniaka spod Wilejki przetrwać straszliwą analizę rdzenia kręgowego i objąć pożądaną posadę pisarza wojskowego. Tam udało mu się trzykrotnie wypisać sobie przepustkę do rodzinnej wsi, tej właśnie, gdzie pociągając wiecznie zamarkanym nosem, biegała istota bez majtek, która po piętnastu

latach zaciągnęła Miszę do łóżka, stamtąd do urzędu stanu cywilnego, a stamtąd znowu do łóżka, ale już korzystając z pełnych podstaw prawnych.

Wysączywszy w melancholijnym nastroju u „Johna Barleycor-na” kilka szklanek jabola, Buhor lubił pofilozofować. „Zapamiętaj, Wowa – nauczał – starość to czas, gdy wszystkie siusiumajtki wydają ci się ładne”. Rozwijając temat, stwierdzał brutalnie, że kobiety dzielą się na takie, które mogą ci dać, oraz na takie, które nigdy ci nie dadzą, a dlatego i jedne, i drugie (te drugie, żeby się zemścić) należy stawiać w niezwykłych sytuacjach, po to, żeby łatwiej można było je zbić z pantałyku.

Trzeba zaznaczyć, że mimo znakomitego teoretycznego przygotowania, życie Miszy ułożyło się wbrew jego zasadom.

Pewnej jesieni Misza opuścił restaurację-szkuner w Tallinie i przyjechał w swoje rodzinne strony nad Wialłą. Tam poszedł w takie tango, że pewnego ranka ocknął się wśród obcych ścian i ujrzał na poduszce obok głowę dziewczyny z własnej wsi. Ostrożnie wygrzebał się spod kołdry i wciągnął spodnie, żeby pójść do domu, ale dziewczyna otworzyła oczy i wyjaśniła mu, że nigdzie iść nie musi, bo to jest właśnie jego dom, a oni są mężem i żoną: wczoraj zapisano ich w sielsowiecie, a weselisko się wyprawi, gdy Misza przywiezie pieniądze z rejsu.

Od tamtego dnia życie Miszy potoczyło się po garbach i wybojach. W Tallinie ostatecznie wyrzucono go z marynarki, nieoczekiwana żona urodziła mu krzykliwego dzieciaka i wciąż domagała się pieniędzy, a teściowa groziła, że poda go do sądu za pasozłownictwo, bowiem do pracy na roli Buhor z jego morskim charakterem był przystosowany jak kaszalot do mulistej sadzawki.

Te wybitnie niesprzyjające okoliczności powodowały, że Misza regularnie, raz na miesiąc, uciekał spod Wilejki, żeby dostać się do Władywostoku. Po drodze wpadał do naszego akademika,

żeby odwiedzić brata i zapraszał nas do restauracji w starym hotelu „Bielarus”.

Owe wieczory z gadatliwym i przepelnionym życiową mądrością Miszą miały nieocenioną wartość, gdyby nie ta jedna okoliczność: Misza nigdy nie miał pieniędzy żeby zapłacić rachunek więc wykładaliśmy swoje stypendialne rubłówki i trojaki, wymógłszy obietnicę, że do Władywostoku wybierze się następnym razem, a nazajutrz rano wsiądzie do elektryczniaka na Mołodeczno.

Pojawienie się Miszy w oddziale budowlanym „Victoria” było efektem jego kolejnej ucieczki od żony. Tu Misza otrzymał przydomek Buhor, który przyrósł do byłego marynarza na trwałe.

Tak więc na Dzień Budowniczego Buhor z Tolkiem Raslinskim zapragnęli świętować już od samego rana. Tolek ułożył plan, zgodnie z którym najpierw trzeba było podpoić naszego ziomka Żenię Szaniana z Osipowiczów, kierowcę, który „chemicył” za spowodowanie śmiertelnego wypadku. Nie bacząc na nasze niemrawe protesty, junacy Harelik i Raslinski uzbroili się w dwie flaszki jabola i wyruszyli na poszukiwania, obiecując spotkać się z nami na tarasie, gdzie podochocony chemik Żenia z pewnością napoi wszystkich aż do upadu.

W południe trójka moczymordów mignęła przed naszymi oknami. Przysadzisty i krępy Misza szedł w miarę równo, ale stąpał ostrożnie, jak gdyby po kładce przez wezbraną rzekę. Tolek w jednym ręku niósł kobiałkę z trzema flaszkami i nie wiadomo czemu z bokerskimi rękawicami, a drugą podtrzymywał osiłka Żenię o rumianych policzkach. „Gdy zdobędziemy władzę – krzyczał Raslinski do głuchawego chemika – zostaniesz ministrem finansów!” Żenia ścisnął w potężnej pięści niebieski zwitek piąтакów. Było niejasne, czy słowa Tolka były pochwałą, czy też dopiero zachętą mieszkańca Osipowicz do hojności.

Kiedy wyciągnęliśmy przechowaną specjalnie na święteczną okazję skrzynkę „777” na ganek i, rozsiadłszy się malowniczo na niej i dokoła niej, zapaliliśmy papierosy w oczekiwaniu na przybycie naszych przyjaciółek, od strony osiedla chemików raptem powiało grozą. Na drodze ukazała się najpierw magazynierka Pantielejewna. Jej postać przypominała olbrzymią beczkę na kapuszę, do której z dołu, z góry i z boków jako tako przymocowano jeszcze pięć beczulek. Tym niemniej Pantielejewna poruszała się nad podziw żwawo i już z daleka krzyczała, żebyśmy się natychmiast pochowali. Skapować dokładnie o co chodzi udało się jednak dopiero wtedy, gdy dotoczyła się do ganku.

Magazynierka z bulgotaniem w piersi wychrypiała, że chemicy porządnie dali sobie w gaz i idą tu całą bandą, żeby nas wyróżnić.

Najwidoczniej krajan Żenia nie zdecydował się otworzyć pięści z piątakami, więc Tolek Raslinski wciągnął rękawice i sprzątniętego kandydata na ministra finansów na kwaśne jabłko. Nasze ochlajtusy gdzieś się zaszyły, a chemicy lada moment będą tutaj. Koło budynku szkoły spróbował ich powstrzymać nauczyciel Sacuk, ale jeden z młodych chemików wyciągnął nożyk i nakreślił Sacukowi pięcioramienną gwiazdę na czole.

– Kryjcie się, ... wasza mać! – lamentowała Pantielejewna. I bez jej przeraźliwego wrzasku było jasne, że sprawy wyglądają źle. Gienek rzucił się po strzelbę. Czarniłowicz chwycił klucz francuski, ja wyciągnąłem z plecaka turystyczną siekierkę, a rudy Lawon, inaczej John Halak, wy dostał z za pazuchy solidną finkę, ni by iluzjonista zająca z kapelusza. „Do domu!” – ryknął w kierunku Świetłanki (którą był odbił u kierownika robót budowlanych) i do innych amazonek. Nieoczekiwanie te postawiły się twardo i odmówiły ucieczki. Poczuliśmy się trochę raźniej. Co więcej, nasze rzadkie szeregi niespodziewanie uzupełniła wojowniczo zarumieniona Tatarka Amina z dubeltówką.



Małeńka Wika wspięła się na paluszki i szepnęła mi z oddaniem, że w razie czego ma ze sobą apteczkę.

– Idą! Mordercy! – głucho wrzasnęła nasza dobrodziejka Pantielejwna wskazując na drogę i potoczyła się po ścieżce do tajgi.

Chemicy szli powolnym, przerażającym krokiem. „Dwadzieścia trzy” – policzył szlachetnie opanowany Gienek, odciągając kurek strzelby.

Razem z męznymi córami syberyjskiej ziemi było nas dziewięcioro plus dwie strzelby. Dziewczętom, żeby ich obecność za bardzo nie prowokowała gości, kazaliśmy się ukryć w saloonie „Johna Barleycorna”, zaopatrzwszy ich w butelkę „777” dla podtrzymania męstwa.

Amina kategorycznie odmówiła oddać dubeltówkę bojową mężczyznom i pozostała razem z nami na ganku.

Chemicy, obserwowani przez pięć par oczu i dwie pary luf, rozstąpili się w odległości jakichś trzydziestu kroków od nas i przepuścili do przodu wujka Kołę z Moskwy. Niektórzy z nieporoszonych gości byli już porządnie wstawieni, ale nie wiadomo było, czy warto się z tego cieszyć: pijani bardziej skłonni są ryzykować. Ten i ów z pewnością nie przypadkiem trzymał prawą rękę w kieszeni i mógł wyciągnąć ją znacznie szybciej, niż zdążylibyśmy kogoś postrzelić.

Powiedzieć tylko, że się przestraszyłem, byłoby zbyt nienależnym uproszczeniem.

Przypomniała mi się nasza niewinna dziecięca zabawa: trafić w „koło” piłką siatkową. Za każdym razem, gdy przyjmując piłkę odstępowałem krok do tyłu, ogarniało mnie pijane uczucie znikomości istnienia, bo bawiliśmy się nie na ciepłym piasku plaży czy na szkolnym boisku, lecz na płaskim, bitumicznym dachu naszego pięciopiętrowego bloku w Połocku. Każdym kręgiem kręgosłupa odczuwało się wysokość i jej magnetyczne pole, które

z każdym następnym krokiem ku krawędzi wywierało coraz potężniejszy wpływ.

Wtedy, na ganku w Jagodnoje, mój kręgosłup przeżył takie samo uczucie.

Na dodatek chorobliwie napięta wyobraźnia wyświetliła przed oczyma pełnometrażowy film: przestrzeń zasnuta prochowym dymem, stosy trupów, gardła rozchlastane od ucha do ucha, wypuszczone z trzewi sinobiałe flaki i malutka Wika, która nie zdążyła opatrzeć naszych ran, bowiem zwycięzcy dopadli ją i z ohydny rehotaniem biorą „na fretkę”, ale ja już tego nie widzę, bo moja dusza zdążyła rozplynać się w wysokim błękitcie i złocie tego dnia, a w moich zeszlonych źrenicach zastygły mikroskopijne cedry i osierocony maszt bez flagi, odciętej razem z workiem pełnym kotów.

– Hej, studenci! – przemówił wujek Kola, ciężko obracając językiem. – Tymi oto rękami – huśtając się lekko na grubych jak bierwiona nogach, wujek Kola rozcapierzył wielgachne dłonie z krótkimi i mięsistymi jak serdelki palcami – tymi oto rękami siedmiu frajerów wykończyłem. Zona dla mnie to jak wolność dla was, a chemia tylko tak sobie, ni pies ni wydra, ni tajga ni tundra.

Na mojej prawej flance usłyszałem jakieś dziwne dźwięki. Zerknąłem z ukosa: Tatarka Amina kurczowo ścisnęła strzelbę i półgłosem śpiewała pieśń wojenną swego narodu.

– Słuchajcie no – kontynuował wujek Kola. – Wydajcie nam tego szajbusa, pierd...go boksera, a sami możecie sobie iść do ch...ja...

Wytarłem spocone ręce o nogawki junackich spodni i pomyślałem, że spotkanie ze śmiercią zostało przełożone. Odkrzyknęliśmy, że szajbusa, to znaczy Tolka, w domu nie ma i wujek Kola może wysłać do nas dwóch chemików na kontrolę.

Zaczęta dramatyczną nutą przygoda skończyła się burleską. Kontrolerzy przeszukali domek, strasząc dziewczyny w saloonie, bez powodzenia spróbowali uszczypnąć Aminę, po czym nad wyraz elegancko chwycili naszą skrzynkę z winiskiem i specjalnie się nie śpiesząc ruszyli do swoich towarzyszy. Córa tatarskich stepów uniosła dubeltówkę. „Amina! Wal po dupach!” – rozpaczliwie wykrzyknął Michaś Czarniłowicz, ale Gienek z Johnem Halaikiem natychmiast uczepili się rąk Tatarki.

Impreza straciła cały rozpęd. W odróżnieniu od okolic, gdzie służył w wojsku Misza Buhor, tutaj nikogo nie zarżnięto. Raslinski z rękawicami boksyerskimi chował się gdzieś przed wujkiem Kolą z Moskwy; nauczyciel Sacuk z pięcioramienną gwiazdą na czole zgrzytał zębami z bólu, Amina siedziała na ganku i śpiewała gardłową tatarską pieśń zwycięstwa, a w saloonie nasze nieustraszone przyjaciółki z przejęcia żuły białoruską słoninę, zapijając ją ciepłąwą alpaga.

W poniedziałek wojowniczy chemicy wytrzeźwieli i dowiedzieli się, że szajbusa wraz z Buhorem przerzucono helikopterem do Pier. Doła, a z uwagi na to, że wujek Kola miał długie ręce i nie rzucił słów na wiatr, bohaterów Dnia Budowniczego wyrzucono z oddziału za pijaństwo i szybkoitko odprawiono do ojczystego Mińska. Wujek Kola za niedopatrzenie rozkazał zrobić „samokształt” kilku swoim ludziom, a sam, miotany sprzecznymi uczuciami, zamknął się na całą noc z dwiema chemiczkami.

Tymczasem za progiem stał już sierpień, nieubłaganie zbliżała się jesień i gorzkawa chwila rozstania. Woda w gliniankach zrobiła się wyraźnie chłodniejsza, a wieczorne ogniska stawały się coraz cichsze i smutniejsze. Chemicy nam zazdrościli, zdążyliśmy przywyknąć do amazonek, a serca niektórych z nich, jak potwierdziły przyszłe wydarzenia, ożywiła nadzieja na ciąg dalszy. Milcząco wpatrywał się w ogień trudny małolat Witia, który w ciągu dwóch

miesiący zaliczył kilka lat męskich uniwersytetów. Nawet wyrostki z osady przestali się zgrywać i nieśmiało wypytywali, jakie są uczelnie w Mińsku i czy trudno się tam dostać na studia.

Ostatniego dnia malutka Wika, rozczesując swoje kędziory, wyrzekła drżącym głosem: „To już wszystko. Teraz pozostały nam tylko wspomnienia” – a potem cicho, jak myszka, zapłakała. Drobnutkie łyżki kapąły do szklanki z „trzema siódemkami”, ja zaś nie płakałem, lecz przyszła mi do głowy bezsensowna myśl, że nawet gdyby łyżki Wiki kapąły do szklanki przez cały dzień i tak nie zmieniłyby koloru wina.

Czarniłowicz umówił się ze swoją Nastią, ustalili, że dziewczyna przyjedzie do Mińska, po czym pójdą do urzędu stanu cywilnego. John Hałak z czarniutką Świetłanką znikli gdzieś do samego wieczora. Warwara też płakała z nieładnie wykrzywioną twarzą, a Amina, którą po Dniu Budowniczego przyjęliśmy do naszej paczki, wypłała trzy szklanki alpagi i trzy razy wygarnęła z dubeltówki w ciemne niebo.

Strzelająca spalinowa lokomotywka zawiozła nas po „naszej” wąskotorówce do Pier. Doła, gdzie ujrzelśmy oddział budowlany „Victoria” w apogeum rozkładu i moralnego upadku. Szerokość frontu robót określało zamówienie na wybudowanie dwóch, podobnych do szpaczych domków, ustępów dla potrzeb lotniska, w których nam z Gienkiem, jako już uznanym specjalistom, z marszu powierzono wykonanie poczesnej części pracy. Nie mając prawie nic do roboty, junacy SOB-u pili, różnęli w karty, zadzierali z miejscową ferajną i łowili więcierzem rybę w starorzeczu. Dowódca oddziału, doktorant Wołodia Zasochin napił się koniaku na krzywy ryj, zapragnął pojeździć ciężarówką i rozwalil połowę zbitej z desek stołówki.

Docent Riepin w międzyczasie wyszedł na wolność, a przypominający Cygana Saszka wrócił do zony: zrobił porządną dziurę

w łupkowym dachu sklepu z artykułami spożywczymi w osadzie, po czym wyniósł stamtąd dwie butelki gorzały i parę śledzi, wypił alkohol na trawie od razu pod ścianą sklepu, przeżuł dwa rybie ogony i beztrzesko kimnął na miejscu przestępstwa, skąd po godzinie zwinęli go dwaj milicjanci.

Ostatnim godnym odnotowania wydarzeniem w przeddzień powrotu do ojczyzny stała się moja idiotyczna bójka z Czesiem Mikulskim o podział złowionych szczupaków. Mocowaliśmy się na brzegu starej odnogi rzecznej, usiłując wepchnąć jeden drugiego do przybrzeżnej breji z gęstymi wodorostami. Zwyciężyłem, ale potem do końca studiów męczyły mnie wyrzuty sumienia, bo Cześ po Nowym Roku umarł na raka, a powiadano, że już jadąc do oddziału budowlanego wiedział, że niewiele mu życia zostało.

Gdzieś tam w górze zapadło postanowienie, że zebranie całej kilkutyśięcznej braci junackiej w stolicy obwodu może być niebezpieczne, więc eszelony formowano i wyprawiano na zachód w miasteczku Osina, które przeszło próbę porównywalną tylko z czasami wojny domowej i obcej interwencji.

Po pierwsze, w sklepach wykupiono wszystkie aktualne artykuły włącznie – a może przede wszystkim – z mętym jak woda w kałuży miejscowym piwem, gdzie, jak się zdawało, nawet gołym okiem można było dostrzec poruszające się bakterie i mikroby.

Pół biedy, gdyby z tą błotnisto-żółtą cieczą miały do czynienia jedynie zahartowane studenckie głowy i żołądki, ale ktoś poczęstował nią także dwa już podrośnięte niedźwiadki, które zabrali ze sobą chłopaki z instytutu lotnictwa cywilnego w Rydze. Oszołomione piwem zwierzaki urwały się w nocy z łańcuchów i pohulały sobie do woli po niskopiennym parku, gdzie na ławkach i bezpośrednio na trawie spali junacy z oddziałów budowlanych. W efekcie może z tuzin junaków wsiadał do eszelonu z obandażowanymi rękami i głowami, a inny tuzin przez długi czas nie mógł się pozbyć jąka-

nia. Niedźwiadki miały szansę uratowania się i powrotu do rodzimnej tajgi, ale nieznaną ciemną siłą skierowała ich z parku do gmachu rejkomu partii, gdzie dyżurujący milicjanci przywitani dywersantów gęstym ogniem zaporowym z karabinów.

Na swoim wagonie przymocowaliśmy hasło z pieriechodnodolskiej żony o „uczciwej pracy skracającej drogę do domu”.

W drodze do domu cierpieliśmy głód, bo pociąg miał długie przestoje w dzikiej tajdze, a stacje, na których junacy mogli coś kupić do jedzenia, mijał z szybkością ekspresu. W Nowosybirsku zrobiono wyjątek i plac dworcowy stał się świadkiem widowiska przypominającego szturm na Pałac Zimowy, znany z filmów o rewolucji: junacy w zielonkawych mundurach z rozpędu wskakiwali na wysoką bramę dworca, rozwalali zamek i wdzierali się z pustymi plecakami do sklepów. Tymczasem eszelonowi dano czym prędzej zielone światło i co najmniej pluton junaków z naładowanymi plecakami ujrzał jedynie umykający ogon pociągu.

Za Nowosybirskiem serce kolejowego naczalstwa zmiękło i pociąg zaczął przystawać na niewielkich stacjach, gdzie do wagonów podbiegały zgraje handlarek. Każdy towar – trzy rozgotowane ziemniaki z kiszonym ogórkiem, zabiedzona wędzona płotka albo paczka zeszlórocznych herbatników – kosztował rubla.

Tę obrzydłą monotonię zaopatrzeniową przerwało pojawienie się produktu bardziej delikatesowego.

Towar miał nazwę *Katiusza*.

Dawno już wypiliśmy podejrzanie przezroczyście piwo z Nowosybirska i nasze smutne spojrzenia szukały ukojenia w nastrojowych, jesiennych uralskich pejzażach, gdy raptem do przedziału wtargnęła jędrna dziewczyna z zadartym nosem. W rękę miała koszyk z waflami, policzki płonęły czerwienią róż, a głos brzmiał jak szczebiot wiosennej sikorki: „Sie manko, chłoptasie, biedne, zagłodzone, trzeźwe robaczki... Czemu takie markotne? Po dzie-

siątku i jestem wasza. Myślcie, chłoptasie, myślcie, inni już się namyślili”. Potrząsnęła wspaniałą sztuczną ondulacją i po chwili jej trajkotanie doleciało do nas z sąsiedniego przedziału.

Nie należeliśmy do tych, kogo można podejrzewać o skąpstwo albo przesadną moralność. Tym niemniej nasz przedział solidarnie odmówił przyjęcia kuszącej propozycji (jeśli nie liczyć bolesnych wahań Czarniłowicza). Widocznie kierowała nami intuicja.

Przeliczywszy sumiennie zapracowane dziesiątą Katusza wysiadła z pociągu daleko za Uralem. Junacy z trzech wagonów krzyknęli jej „hip-hip-hura!” na pożegnanie i pojedynczo rozeszli się dzielić wspomnieniami o alkowianych wygibasach syberyjskiej hetery i nowymi męskimi doświadczeniami. Wyczyny trzech oddziałów mińskich junaków wyglądały tak niewiarygodnie, że dla ich urzeczywistnienia nie wystarczyłoby nawet dziesięciu Katusz. Takie opowieści wyraźnie wnerwiały Michasia Czarniłowicza i nasz kolega rzucał wrogie spojrzenia w naszym kierunku.

Gdy pociąg wjechał na zaniedbane obszary Rosji o glebach ubogich w czarnoziem, tytani kolejowego seksu raptownie posmutnieli i przez wagony przeleciał podmuch paniki...

Teraz Czarniłowicz chodził z zadartą głową po obcych przedziałach i, złośliwie przesadzając, malował wizje najróżniejszych potworności, jakie czekają cierpiących, oraz bezinteresownie proponował konsultacje medyczne.

W tym ogólnym nieszczęściu utonęło pragnienie zemsty na naszym towarzyszurku Osinowskim, które zawładnęło wagonem jeszcze wśród uralskich odnoży górskich.

Gdzieś na granicy Europy i Azji skromny junak Jurka wyszedł ze swego przedziału z pobielającą twarzą i załamującym się głosem poprosił o pilne zwołanie zebrania całego oddziału. Dowiedzieliśmy się, że Osinowskiemu skradziono z walizki wszystkie pieniądze. Niewesołą wiadomości uzupełniły informacje o chorych

rodzicach, niezbyt zdrowej siostrzyczce i w dodatku chorującej na jakąś skomplikowaną chorobę krówce. Do listy rodzinnych chorób nieborak dodał wzruszający szczegół: ze zmartwienia rozstroił mu się żołądek i chwyciła go krwawa biegunka.

Największą litość wywołał nie sam cierpiący Jurka i jego choroby swojacy, lecz biedna krówka, która nie doczeka pieniędzy zapracowanych ciężką harową w oddziale budowlanym.

Kiedy podczas głosowania nad zbiórką pieniędzy dwie ręce niezdecydowanie „wstrzymały się”, zebrani zapalali szlachetnym oburzeniem. W rezultacie Jurka dostał o trzy stówy więcej niż inni junacy i jego młody, znów uskrzydłony organizm szybko pokonał biegunkę.

Jakkolwiek gorzko jest przeżyć rozczarowanie innymi ludźmi (podobnie jak rozczarować swoich bliźnich), prawda jednak wymaga, żeby wypić jej piołunowy kielich do samego dna. Skromny junak Jurka po prostu wstawił zwykły kit. Ci dwaj junacy, którzy na zebraniu nie chcieli głosować za, jechali z Jurką w jednym przedziale, a ponadto przemieszkali z nim rok w jednym pokoju w akademiku, dlatego też dysponowali większą ilością danych do analizy. Dlatego nie uważali całej sprawy za zakończoną. Jeden z nich spał uskrzydłonego towarzysza do nieprzytomności, a drugi gruntownie przeszukał bagaże Jurki i znaleźli rzekomo skradzione pieniądze na dnie walizki w kokonie z kilku par śmierdzących skarpetek.

Z powodu fatalnych w skutkach amorów z Katuszą-bufetową „Victoria” nie spełniła do końca oczekiwań rodzimego akademika. Zamiast hucznych balang z udziałem miejscowych bachantek i salw szampana czekały junaków wizyty u wenerologów i różne mało przyjemne zabiegi.

Swoich kolegów zrehabilitował do pewnego stopnia student czwartego roku Wasia Maksimienka, który nie bacząc na swoją dolegliwość wieczorem wspiął się z butelką szampana na słup ze światła-



mi na skrzyżowaniu Swierdłowa z Uljanowską i recytował stamtąd wiersze Michaiła Lermontowa dla rzadkich o tej porze przechodniów. W protokole, którym Wasia się szczycił, dyżurny na posterunku zapisał, że podczas zatrzymania obywatel Maksimienka „okazał opór poprzez otwarcie butelki radzieckiego szampana i polanie nim pracowników milicji”. (Od wyrzucenia z uniwersytetu naszego kolegę uratował nie tylko fakt, że szampan był radzieckiej produkcji, ale także pomoc kuzyna, który był prorektorem.)

Inny junak wslawił się tym, że na zajęcia jeździł środkami uspołecznionej komunikacji na gapę, a gdy łapały go kanary, wydostawał przywiezioną z Syberii sturublówkę, z której kontrolerzy, rzecz jasna, nie mogli wydać reszty. Gapowicz zalał im jednak porządnie za skórę i skończyło się tym, że pewien kanar wspólnie z kierowcą po prostu odebrali ów nierozmieniaalny banknot, a jego właściciela poturbowali i wyrzucili z trolejbusu na usłany żółtymi liśćmi trawnik.

Ciepły wrzesień w Połocku, który mignął w przerwie między moim powrotem z Syberii i początkiem zajęć, został w pamięci przede wszystkim dzięki obskurnemu barowi „Przylaszczka” i koktajlowi o takiej samej nazwie i niewyraźnym smaku. Wypijaliśmy go z przyjacielem mego dzieciństwa Sanią Makiedonskim przed zabawą w domu kultury fabryki włókien szklanych. („To, co zwykle” – niedbale, niby starzy bywalcy rzucaliśmy barmance.) W domu kultury czekały na nas uczennice drugiej klasy technikum spółdzielczości Zina i Ilona.

Świat jeszcze raz potwierdził, że nie jest doskonały: mnie podobała się szatynka Zina, a Makiedonskiemu blondynka Ilona, ale u dziewczyn było dokładnie na odwrót. „Niech wybiera kobieta” – proponował fatalista Sania, ale moja podgrzana koktajlem natura buntowała się i kontynuowaliśmy chodzenie we czwórkę.

Rozpaczliwą próbą wyrwania się z zaczarowanego czworokąta stała się nocna eskapada taksówką do zamkniętego na wszystkie cztery spusty Spasowskiego Monasteru. Nie odmawialiśmy tam modlitw, lecz piliśmy szampana, żeby potem – przebacz nam, jeśli możesz, Boże, i ty, nasza niebiańska orędowniczko, Eufrozyno – roztrzaskać butelkę i szklanki o upstrzony nieprzyzwoitymi napisami mur monasteru.

Potem w Mińsku dostałem od Ziny aż dwa listy, które zrobiły na mnie głębokie wrażenie nie tyle demonstrowaniem nieoczekiwanej wierności, ile poziomem filologicznego przygotowania przyszłych aktywistek spółdzielczości. Zina pisała, że Ilona podobno ma nowego „pszyjaciela”, lecz ona ciągle pamięta o mnie i o „pikniku na chrabiowskich ruinach”, jednakże „na wszystko psychodzi kres”. Należało się spodziewać, że wkrótce i Zina będzie miała „pszyjaciela”.

Zanim wróciłem do Mińska, byli junacy oddziału budowlanego „Victoria” zdążyli już wykurować rzeźączkę i przepuścić syberyjskie zarobki.

Niebawem Czarniłowicz i starościna naszej grupy Lila zgłosili chęć zawarcia związku małżeńskiego w urzędzie stanu cywilnego. U cichego Jury Asinowskiego pewnej nocy śmiertelnie zaszadzieli rodzice, co zmusiło chłopaka do przeniesienia się na wydział zaoczny i zamieszkania w domu na wsi. Machnęliśmy ręką na stare porachunki z oddziału budowlanego i z pierwszego stypendium zebraliśmy sto rubli, żeby pomóc młodszej siostrzyczce Jury i chorej krówce.

W Chile władzę objął Augusto Pinochet. W ZSRR wzmagała się walka z pijaństwem i alkoholizmem. Nasz Klub Przyjaciół Piwa na wydziale historycznym ukrył się za skrótem KPP i, podobnie ja bratnia partia komunistyczna w Chile, działał w podziemiu.

Uniwersytetem wstrząsały frontalne naloty i kontrole.

Podczas jednego z nalotów na akademik aktywiści partyjni, komsomolscy i związkowi usłyszeli podejrzanе odgłosy dobiegające zza zamkniętych drzwi i osaczyli pokój jak charty. Gdy sfera kontrolerów wpadła do pokoju, wykryła tam przełękiego studenta, który udawał, że się przygotowuje do seminarium z historii KPZR. Z szafy w ścianie sekretarz organizacji partyjnej triumfalnie wyciągnął jeszcze bardziej przełęką studentkę w stroju Ewy. „My się kolegujemy” – tylko tyle zdołał wydusić z siebie młody sługa Klio, po czym razem z koleżanką został niezwłocznie wysiedlony z akademika. Od tamtego dnia wystarczyło, żeby jakaś para pokazała się razem wśród wydziałowej braci, żeby zewsząd leciało zjadliwe pytanko: „Kolegujecie się, co?”

Podczas jednej z kontroli pracy wychowawczej został rozgromiony nasz totalizator, jaki urządziliśmy w pokoju leninowskim akademika. Na trzech zsuniętych stolikach do cichej nauki odbywały się gonitwy karaluchów. Nasi wąsaci współlokatorzy ścigali się po torach wyłożonych ołówkami. Stawki sięgały nawet dwóch czerwońców. Podniecenie było tak ogromne, że zdawało się, iż za moment do zakładów przystąpią także klasycy marksizmu-leninizmu, przyglądający się wyścigom z topornych portretów na ścianach. Dokładnie w tym momencie, gdy faworyt Bill Szalona Krowa w głębokim zamyśleniu zatrzymał się w połowie dystansu, do cichacza wpadła kontrola, która miała spore kłopoty z odwróceniem naszej uwagi, bowiem wszystkie spojrzenia zbiegły się w punkcie, gdzie Bill ni z tego ni z owego zdecydował oddać się medytacji.

Opanowawszy sytuację, lotna brygada wyzwalała nas od przyszłych bojowników frontu ideologicznego, od razu jednak zaznaczając, że nikt z nas nie zasługuje na to zaszczytne miano. Oburzone tyrady zaczynały się mniej więcej tak: „Tu, pod portretami wodzów...”

Krótko mówiąc, życie toczyło się zwyczajnym nurtem.

Wyteżając siły twórcze wydaliśmy najpierw organ swojego pokoju nr 25 – gazetkę ścienną „Aligator” (za nazwę posłużyła nalepka od jabola z domalowaną literką „r”), a potem kolejny numer naszego almanachu „Miławica”. O naszym ściennym organie natychmiast doniesiono naczalstwu, a „Miławicę” zabrał do poczytania sekretarz komsomołu Karagin i almanach wsiąkł na cały miesiąc.

Potem zupełnie bezpodstawnie oskarżono nas o autorstwo rebusu, namalowanego na kawałku brystolu, który w przeddzień sesji ktoś przypiął na tablicy obok rozkładu zajęć: trzy rozłożyste dęby, przed każdym stoi butelka, a w dole odwrócone do góry nogami rozwiązanie – „Nowy Rok na katedrze wojskowej”.

Od zawarcia bliższej znajomości z towarzyszem majorem dzieliła nas jedna sesja i wakacje.

Wspomnienia o Syberii, chemikach, piaszczystych sadzawkach i gorących ustach amazonek nawiedzały nas coraz rzadziej. Co prawda, amazonki przysłały nam pocztówkę z życzeniami „z okazji rocznicy Wielkiego Października”. Nie odpowiedzieliśmy na nią: nasze nadawczynie powinny były zrozumieć, że wróciliśmy do domu na dobre.

One jednak nie rozumiały.

Gdzieś w okolicach Nowego Roku na wykład naukowego komunizmu nieoczekiwanie przyleciał zdyszany Michaś Czarniłowicz, który z powodu grypy wylegiwał się w akademiku. Oprócz kożuszka miał na sobie tylko wypłowiały sportowy trykot, przetarty na kolanach i buty na bosą nogę.

Sekrety naukowego komunizmu zgłębialiśmy w audytorium przypominającym amfiteatr, który miał zapasowe wyjście na samym szczycie. Na zasłoniętych przegródką stopniach ktoś zazwyczaj sączył piwo albo grał w karty. W tym zacisznym zakątku, dokąd bez

szczególnych problemów można się było wymknąć z górnych rzędów w czasie wykładu, zebrał nas spocony jak mysz Czarniłowicz. „Amazonki przyjechały...” – wydyszał. Okazało się, że Michaś dojrzał sybiraczki z naszego okna na parterze, kiedy były już całkiem blisko akademika. Zdążył jedynie wsunąć buty i narzucić kożuszek, po czym wlaź na parapet i skoczył w zaspę przed oknem. Wśród trójki nieproszonych gości była Nastia, której Czarniłowicz latem obiecał wizytę w urzędzie stanu cywilnego w Mińsku.

Z olbrzymią ulgą dowiedziałem się, że malutka Wika miała dość rozumu, żeby tu nie przyjeżdżać. Razem z Nastią przyjechała komisarz amazoнок, pulchna Nonna, niewątpliwie zasłużona w wychowaniu trudnego małowata Witi. Trzecią była Ellen.

Sytuacja nie pozostawiała właściwie żadnej swobody manewru. Natychmiast po dostarczeniu mu bardziej przyzwoitego przyodziewku Czarniłowicz został cichaczem wyprawiony do rodzinnej wsi.

Gienek, J. Halak i ja mężnie stawiliśmy czoła przybyłym amazonkom. Odegrawszy scenę ciepłego powitania po długiej rozłące, zaprosiliśmy amazonki do „najlepszej mińskiej restauracji”. Ta rola przypadła pobliskiej restauracji w starym hotelu „Białoruś”, która pamiętała morskie opowieści Miszy Buhora.

Ustaliliśmy najpierw wersję oficjalną, zgodnie z którą Czarniłowicz wybył na „studencką konferencję naukową” do Taszkientu. Jako najbliższy przyjaciel młodego naukowca mińszczanin Gienek zaprosił Nastię do zatrzymania się u niego. Ellen została dla mnie.

Restauracyjny kołowrót bytu wniósł pewne korekty. Nonnę, nie zwracając najmniejszej uwagi na leniwe protesty J. Halaka, bezustannie zapraszał do tańca jakiś dryblasowaty koszykarz i w końcu zniknął z nią na dobre. Kiedy orkiestra pożegnała się z publicznością, a potem wróciła, żeby zagrać gościom ze słonecznego Uzbekistanu, którzy wyciągali zza cholew zawinięte w cuchnące szmaty paczki banknotów, osierocony J. Halak i Nastia

z Gienkiem postanowili ruszyć do Gienkowej Sierabranki. Ja i Ellen bez specjalnego entuzjazmu wróciliśmy do akademika, gdzie przesznułowałem ją przez okno do naszego pokoju.

Zapaliwszy papierosa, Ellen wyrzekła swoim zwykłym, bezbarwnym tonem: „Bydlak z tego waszego Michasia. Tylko takiej idiotce jak Nastia można wcisnąć te głodne kawałki o Taszkencie.” Zaciągnęła się i kontynuowała swoją demaskatorską mowę: „Twoja Wika, nawiasem mówiąc, bzyka się na całego z synem dziekana. Nawet pozdrowić cię nie prosiła. Zajęła się własną karierą”. Po kilku dalszych sztachnięciach otrzymałem kolejny policzek: „A propos, nadstawiłam uszu i nie słyszałam, żeby w ogóle tu ktokolwiek mówił w tym twoim języku białoruskim”. W jej głosie pobrzmiwała złośliwa satysfakcja.

Czarniłowicz okazał się bydlakiem. Wika bzykała się z synem dziekana i robiła karierę, a w Mińsku nikt nie mówił po białorusku. Co miałem robić? Posłać tego prokuratora w kraciastej spódnicy maxi w tę mroźną noc do jej skandynawskich przodków? Zamiast tego spróbowałem ożywić w pamięci wspomnienia ciepłego zmierzchu nad glinianką i hałasowania burunduków w zagajniku...

Wkrótce po odjeździe amazonek elektryczniak z Mołodeczna przywiózł do Mińska chronicznego uciekiniera od żony Miszę Buhora. Akurat odbywaliśmy wyjazdowe posiedzenie Klubu Przyjaciół Piwa na dacy Gienka. Misza na próżno czekał na nas aż do wieczora w chłodnym holu akademika, wypił więc samotnie butelkę wódki i w końcu wsiadł do moskiewskiego pociągu.

Udało mu się dotrzeć do Władywostoku, zaciągnąć na statek handlowy, odbywający rejsy do Japonii, rzucić picie i zebrać przez rok kupę szmalu.

Kupiwszy bilet powrotny na samolot i spakowawszy dwie walizy prezentów, Misza wyszedł w wieczór sylwestrowy na spacer po mieście i trafił na bezdomnego-bicza.

Bicz wylazł ze studzienki kanalizacyjnej i poprosił o dwadzieścia kopiejek na kino. Buhor zainteresował się człowiekiem i dał mu dwadzieścia rubli. Bicz zaproponował pogawędkę. Znajomość trwała aż do wiosny.

Wiosną na kabotażowej łajbie Misza zarobił trochę pieniędzy na drogę powrotną i – dawno już oplakany przez żonę i krewnych, a także i przez nas – zjawił się tuż przed letnią sesją w naszym pokoju jak zwiastun z innego świata. Pił piwo zagryzając wędzoną płótką i opowiadał niesamowite historie o życiu we władwostockich kanałach i podziemiach, gdzie bicze spali na rurach centralnego ogrzewania i w srogie mrozy marli dziesiątkami z powodu olbrzymiej różnicy temperatur pomiędzy dolną i górną częścią ciała, a dozorczy potem wyciągali ich bosakami przez włazy.

Z kieszeni Misza wytrząsnął garść zmieszanych z tytoniem cedrowych orzechów.

To było ostatnie pozdrowienie z Syberii.

*Jan Maksymiuk*